ZAWÓD

sztuka w 3 aktach

napisał

Maciej Szukiewicz

Z A W Ó D

++++++++++++++++++

sztuka w 3 aktach

napisał

O s o b y.

PANI WIĄZECKA, obywatelka ziemska
IRENA, jej córka
PANI ŁĘSKA
Dr.HENRYK ŻMUDA, docent uniwersytetu
SOLIŃSKI, student
ŻŁOBICKI, wieczny akademik
SZCZĘSNY GŁODNIEWICZ, doktorand medycyny
ŻUNIA GŁODNIEWICZÓWNA,jego siostra
JULKA SZAŁWIŃSKA
JANKA MIŁOCKA koleżanki Ireny Wiązeckiej
IDA FELT
KASIA, służąca Łęskich
MARYNIA, była służąca Łęskich, potem Ireny
ANNA BURAK, zwana „Aniołkiem"

Rzecz rozgrywa się w wielkiem mieście.
Doba obecna.

-.-.-.-.-.-.-.-.-

A K T I.

+++++++++++++

Parterowy pokój ogrodowej willi. W głębi drzwi do ogrodu, po lewej okno. Prawa ściana przerwana szerokim otworem arkady łączącej pokój z oszkloną werandą. Wiodą do niej trzy stopnie przez całą szerokość arkady, ujętej z boku w ciężkie rozsuwalne portjery.- W prawo ku przodowi biurko, garniturek do pisania, książki, notaty, stołowa lampa elektryczna z abażurem. Za biurkiem na postumencie odlew gipsowy Wenus milońskiej. Z tej samej prawej strony za arkadą i między nią a drzwiami od ogrodu pianino i taburet. Pod lewą ścianą, po jednej i po drugiej stronie drzwi wchodowych dwie nieoszklone szafy bibljoteczne o dwóch kondygnacjach, górnej płytszej i dolnej głębszej ; wierzch dolnej tworzy „blatt", na którym leży nieco książek, zarazem jednak jest jeszcze dość miejsca na postawienie tam innych rzeczy.- W pobliżu dalszej szafy bibljotecznej szezlong, głowami ku oknu zwrócony. Na środku pokoju stół jadalny niewielki, ze świecznikiem elektrycznym, zwisającym od sufitu, wokół krzesła. Urządzenie mieszczańskie ale zamożne a nawet wykwintne.- U okna w głębi firanki, u drzwi lambrekiny.

Czerwcowy dzień bliski zmierzchu. Na chmurach nad ogrodem gasną zwolna ostatnie blaski wieczornej zorzy.

Przy środkowym stole służąca KASIA kończy rozstawiać talerze i układać sztućce. Nie wszystkie chcą się jej zmieścić, co ją wprawia w zakłopotanie.

Przez otwarte drzwi w głębi wchodzi ŁĘSKA z pękiem jaśminu w dłoniach.

S c e n a 1.

ŁĘSKA

- Jeszcze temu nie koniec ?

KASIA

/bezradnie/ Placu mało...

ŁĘSKA

Postaw gdziebądź byle było, tu czy tam wszystko jedno. /rzuciwszy okiem dokoła/ A gdzie żardiniera, wiesz ? ta duża.

KASIA

/wskazując/ Na pianinie. /idzie ku niemu/

ŁĘSKA

- No, ładne ono będzie.- Czekaj, czekaj, mniejsza z tem, niech zostanie. Przyniesiesz od nas.../namyśla się/ wazę od starego serwisu. Przynajmniej nie przewrócą i obrusa mi nie splamią. Żywo dziewczyno.

KASIA

/wybiega w lewo/

ŁĘSKA

/skontrolowała oczyma porządek i zastawę stołu,- siada na szezlongu, obok siebie kładzie jaśmin, układa go w bukiet - Pauza - Pukanie do drzwi/ Proszę. /pukanie się powtarza/ Proszę !

/Wchodzi ŻMUDA, lat 30, kilka przedwcześnie siwych włosów,- rysy nieregularne ale twarz piękna pięknem uderzającej inteligencji, zwłaszcza oczy myślące, chwilami ogniste. Zachowanie się swobodne; znać, że na codzień człowiek to zupełnie zrównoważony./

S c e n a 2.

ŁĘSKA

/przyjaźnie, z odcieniem lekkiego zdziwienia/ Pan ?

ŻMUDA

- Moje uszanowanie pani prokuratorowej.

ŁĘSKA

/cały czas z wrodzoną kokieterją i temperamentem/ - Jeszcze się pan tej prokuratorowej nie oduczył ? /podaje mu rękę, którą on całuje/ Niech pan siada. Pomoże mi pan bukiet ułożyć.

ŻMUDA

/odkładając kapelusz na bibljoteczną szafę/ Najchętniej.- /rzucił okiem po pokoju/ Tu się coś zmieniło..

ŁĘSKA

- Nie,- ach,owszem. Z oranżerji zrobiła sobie sypialnię. Utrzymuje, że dusze jak kwiaty rozkwitają w słońcu, czego sama najlepszym dowodem. Ale pan tego nie ciekaw. Dawno już nie był pan u nas... /poprawiając się/ to jest nie zaglądał do panny Ireny.

ŻMUDA

- Byłem bardzo zajęty.

ŁĘSKA

- Wolno wiedzieć kim ?

ŻMUDA

/naśladując jej żartobliwy ton/ Przemiłem stworzonkiem. Zwie się: baccillus...

ŁĘSKA

ŁĘSKA

/wpadając/ No, no, będzie się pan usprawiedliwiał przed innym trybunałem, a tymczasem musi pan starą babę pobawić. Należy mi się choć kruszynka z waszego symposionu.

ŻMUDA

- Jak pani to pięknie określiła.

ŁĘSKA

- Że... platonicznie ?

ŻMUDA

- Że po platońsku.

ŁĘSKA

- Alboż nie trafnie ? Spójrz pan: stoły gną się pod kryształami.

ŻMUDA

- Prawda. /wstaje/ Uciekam zatem.

ŁĘSKA

/zatrzymując go/ Czemu ?

ŻMUDA

- Aby nie być... trzynastym.

ŁĘSKA

- Fatalista ? Uchylmy zatem zasłonę przyszłości. /wstaje, gestem ręki liczy nakrycia/ Raz, dwa, trzy...

ŻMUDA

/wstrzymując jej rękę/ Nie, nie -

ŁĘSKA

/przyjaźnie grożąc mu/ Trzy nakrycia już panu zadużo?-

Dziś tu quasi święto, Irenka od rana chodzi rozpromieniona.

ŻMUDA

/z ożywieniem/ Istotnie ?

ŁĘSKA

- Nareszcie się pan ożywił. I nie domyśla się pan ex re czego ten festyn ? Kto jak kto, ale pan powinienby coś o tem wiedzieć. Irenka święci dzisiaj...

ŻMUDA

- Niech pani nie kończy, proszę -

ŁĘSKA

/sondując go wzrokiem/ Pan musiał już otrzymać nominację na zwyczajnego profesora.

ŻMUDA

- ?

ŁĘSKA

- Bo już po profesorsku zdziwaczał. /siada znów na szezlongu/

ŻMUDA

/po chwili również siadając/ Bynajmniej, tylko wierny swej zasadzie piję życie po kropli jak wytrawny pijak szampana. Najwyższe wartości leżą między ustami a brzegiem puharu.

ŁĘSKA

/badawczo/ Nawet gdy tym puharem...kobieta ?

ŻMUDA

/mając się na baczności/ Poniekąd tak,-- głównie

wtedy. Dam przykład. /sięga do kieszeni surduta/ Oddawna koresponduję z...przyjaciółką i bywa../machinalnie dobył list i trzyma go chwilę/, że noszę przy sobie od rana taki list...

ŁĘSKA

/która zdążyła adres przeczytać, żywo/... firmowy -

ŻMUDA

- Co ? /spojrzał na kopertę/ A to zabawne /śmieje się trochę nienaturalnie/ Nie, to nie ten.../sięga znów do kieszeni/

ŁĘSKA

Ach, mniejsza o corpus delicti. Otrzymał go pan zatem i co ?

ŻMUDA

/chowając wprzód wydobyty list/ I do tej chwili nie otworzyłem go jeszcze. W ten sposób przeżywam tysiąc rozkosznych możliwości, z których kartka papieru może mi dać jedną tylko. Voila tout.

ŁĘSKA

/po sekundzie/ Wie pan co ? - nie chciałabym,być tą kobietą. No tak, bo pan nie ją kochasz, tylko jakieś sabaty własnej wyobraźni.

ŻMUDA

- To zależy -

ŁĘSKA

- Nie,panie. Już to wogóle wy młodzi, dzisiejsi... Choćby Irenka Wiązecka. Podnajmując jej mieszkanie, przydałam do niego - tak sobie tuszę - sporo serca.

Chwilami zdaje mi się, że mam córkę i to jest ta najlepsza okruszynka, którą sobie anektuję. Ale żeby ona była naprawdę moją - inaczej by to było.

ŻMUDA

- Cóż pani może zarzucić pannie Irenie ?

ŁĘSKA

- Niełatwo to sformułować... Powiadacie - bo to wy, wy, nie kobiety głoszą te jakieś nowe hasła - powiadacie : potrzebujemy żon i matek trzeźwiejszych, rozumniejszych, wykształceńszych, - uniwersytet zatem -

ŻMUDA

- Oczywiście -

ŁĘSKA

- Dobrze, niechby sobie był uniwersytet, nawet medycyna,- od siebie bym dodała : w pewnym zakresie, który zresztą i prosta kobieta łatwo sobie przyswaja choćby dlatego, że jest kobietą.- Więc jak mówię zgoda na uniwersytet, nawet na medycynę, wogóle zdobywanie wiedzy maksymalnej,ale dlaczego z nią ma iść w parze zmiana poglądu na całość życia.

ŻMUDA

- Łaskawa pani, w tem właśnie postęp.

ŁĘSKA

- Zapewne, ale czyż musi on zaraz być tak radykalnym, tak krańcowo wolnomyślnym ?

ŻMUDA

- Musi.

/Drzwiami z lewej wchodzi KASIA z wazą na kwiaty. ŁĘSKA giestem ręki każe jej postawić ją na biurku w prawo, poczem podnosi się i idzie za nią kontynuując rozmowę/

ŁĘSKA

- Chodzi mi o pewną dziedzinę, zupełnie specjalną. /zrównawszy się z Kasią, odbiera od niej wazę, wskazując na szezlong/ Daj jaśmin... Całkiem specjalną i to wszystko, co się z nią wprost lub pośrednio łączy. Pan wie, że w teorji można światy burzyć i gwiazdy z nieba strącać, ale w praktyce, wżyciu... /zgniewana, że Kasia przenosząc jaśmin, w pół drogi upuszcza go na podłogę/ Mogłabyś uważać ! Idź i nie pokazuj mi się na oczy. Ruszaj, sama pozbieram. /KASIA skonfundowana wychodzi w lewo, Łęska pochyla się dla zebrania kwiatów, Żmuda zrywa się z szezlonga, aby ją uprzedzić,- Łęska zdążyła jednak podnieść kilka gałązek, które układa w wazie na biurku/ Nieznośna dziewczyna, niema dnia, żeby mi jakiej szkody nie zrobiła.

ŻMUDA

- Państwo mieliście jakąś inną służącą -

ŁĘSKA

- Pamięta pan Marynię ?

ŻMUDA

- Taką zwinna, fertyczna ?

ŁĘSKA

- To ją właśnie zgubiło. Pewnego dnia zaczęła tracić zwinność i... musieliśmy ją oddalić. Skończyło się dla biedaczki więzieniem.

ŻMUDA

/oddając jej zebrane kwiaty/ Aż tak ?

ŁĘSKA

- Udusiła. Na dobitek tak się złożyło, że mąż ją oskarżał, bo inni byli zajęci.- Ale wracam do naszej poprzedniej rozmowy. Że jakiejś prostej dziewczynie powinie się noga, to jest ludzka rzecz,- niedoświadczone to, głupie i nie wyniosło z domu żadnych zasad. Ale żeby panna z dobrej, ziemiańskiej rodziny tak sans gene, z zatratą wstydliwości... Mąż zżymał się poprostu -

ŻMUDA

- Prokurator...

ŁĘSKA

- Co obiad i kolacja kruszyła o nią kopje i to było pięknie, bo po kobiecemu. Ale potem odwiedzać ją w więzieniu, afiszować się, nieledwo serdecznić z dzieciobójczynią -

ŻMUDA

- Dowód dobrego serca i cywilnej odwagi.

ŁĘSKA

/przenosząc kwiaty na stół jadalny/ Ba, kiedy to się drapowało w togę studjów naukowych.

ŻMUDA

/trochę tem zadraśnięty/ Nie sądzę, żeby panna Irena potrzebowała się w cokolwiek drapować. Dla psychologa jak ona mogło to być i z pewnością było polem badań i obserwacji a w tem nie widzę kamienia obrazy dla

zasad czy kobiecości. /siada przy biurku pod rzeźbą/

ŁĘSKA

/ostatecznie poprawiając gałązki bukietu/ A ja widzę, jak widzę odrazu czy skrzydła motyla starte są czy nietknięte. Pan mię co do tego nie przekona i nawzajem wolno mieć panu inne zdanie. Chciałam jedynie zaznaczyć, że w dążeniu dzisiejszych panien dostrzegam objawy niesympatyczne, jakiś specjalnej barwy radykalizm.

ŻMUDA

- Szczerość raczej -

ŁĘSKA

- Może,- szkoda tylko, że ma ona pewien odcień cynizmu, przynajmniej dla mnie.

/Drzwiami z lewej wbiega żywo IRENA WIĄZECKA, jak urocze zjawisko wiosny w pełnym rozkwicie/

S c e n a 3.

ŁĘSKA

- Sama ? /podchodzi do niej/

IRENA

- Zaraz tu będą. /wita ją pocałunkiem, zdejmuje kapelusz, poprawia włosy/ Bractwo czterech „I" w komplecie i kilka niemniej wybitnych jaźni. Maruderów dyskusji zostawiłam jeszcze na sali a sama do fiakra i jestem tu przed gośćmi,

ŁĘSKA

/ukazując Żmudę, który powstał/ Niektórzy cię wyprzedzili.

IRENA

/spostrzegłszy go, swobodnym, niemal radosnym głosem/ A, pan Henryk. /podbiega doń/

ŻMUDA

- Dobry wieczór pani. /podają sobie ręce/

IRENA

/serdecznie/ Jak to pięknie, że pan przyszedł, że nie zapomniał...

ŻMUDA

/nieco cichszym głosem/ Rok cały byłem tylko pamięcią.

IRENA

/gasnąc w twarzy i ruchach,- konwencjonalnie/ Dziękuję panu.

ŻMUDA

/dostrzegłszy tę zmianę, posępnieje/

ŁĘSKA

/rozmyślnie poprawiając coś na stole jadalnym/ Jakże ci się udało, kochanie ?

IRENA

/odkładając kapelusz,na pianino/ Jak mnie się udało ? Cóż ja ! Chodziło nie o mnie, tylko o ideę,- ja dałam jej jedynie kształt. W tysiącach dusz dziewczęcych idea ta śpi snem Galatei i jeżeli stałam się dla niej Pigmaljonem, przynajmniej u tych, co były na sali...

ŁĘSKA

- Pełno miałaś ?

IRENA

IRENA

- Nabite.

ŁĘSKA

- Ale powiedz mi już raz... Od tygodnia słyszę o tym twoim odczycie, ale dotąd nie powiedziałaś mi...

IRENA

/przytulając się do niej/ I nie powiem. Gotowaby się pani mnie wyrzec a wtedy ktoby mi dogadzał ? ktoby mię tak psuł ?

ŁĘSKA

/żartobliwie, z udanym dąsem/ Tak ? - nie chcę cię znać więcej. Odchodzę.

IRENA

- Złotuchno !

ŁĘSKA

- Nie, nie, nic z tego, nie przyhołubisz. Już mnie tu niema. Idę... /tracąc dąs/ do kuchni.

IRENA

- Pani doprawdy jak ta Marta -

ŁĘSKA

/z lekkim giestem głowy w stronę Żmudy/ Nie byłoby Mart, nie byłoby i Maryi, słuchających Pana.

IRENA

/zmieszana, półgłosem, nalegająco/ Niech pani zostanie...

ŁĘSKA

/odmawiając ruchem głowy, do Żmudy/ Dowidzenia panu.

ŻMUDA

ŻMUDA

/z małem opóźnieniem wskutek zadumy/ Moje uszanowanie.

/ŁĘKKA wychodzi w lewo/

S c e n a 4.

/Chwila obustronnego zakłopotania/

ŻMUDA

/z za biurka podchodzi do Ireny, matowym głosem, nieledwo z intonacją pytania/ Ja sobie pójdę panno Ireno.

IRENA

/miękkim, pokornym głosem/ Daruj pan, panie Henryku. Kłamałabym, mówiąc, żem pamiętała o naszym pakcie i terminie. Jakże ten rok szybko minął ! Bardzo, bardzo przepraszam. Sądziłam, że pan... że panu to...

ŻMUDA

- Wywietrzało.- Niestety, nie ! - Zabroniłaś - nie przychodziłem. Rok próby... Owszem, może przejdzie, może się to raz wreszcie skończy, albo... Nie zdechłem jednak, nie przeszło. Kocham panią jak potępieniec, do obłędu, do szału - słyszysz ? - do szału ! /drżąc na całem ciele,ledwo może pohamować się,by nie rzucić się na nią/

IRENA

- Otóż to, to,właśnie.- Przed czem całe moje „ja" wzdryga się i truchleje, o czem sama myśl jest dla mnie czemś...

ŻMUDA

/spojrzał na nią badawczo,z bezbrzeżnym smutkiem/ Ach, tak... /pauza/

IRENA

/gestem każąc mu siąść przy biurku, sama unikając jego bliskości/ Panie Henryku, za szczerość, z jaką pan ze mną nigdy nie mówił, przynajmniej w tej materji, odpłacę równą szczerością. Może to nie przystoi młodej pannie wobec młodego człowieka, ale ja teraz mówię jak duch do ducha, intellekt do intellektu.- Nie znam życia, rządzę się w niem instynktem i wierzę, że on mię nie zawiedzie. Przemawia za tem nie moje własne ale doświadczenie mojej matki, mojej najlepszej, najukochańszej przyjaciółki. Pamięta pan Dumasowski podział kobiet ?

ŻMUDA

- Na westalki, matki i hetery ? - Natura nie zna...

IRENA

/wpadając/ Czystych typów ? Pan się myli. Moja matka jest nim właśnie a ja w nią się wdałam. Wyszła za mąż bardzo młodo za człowieka...szlachetnego, któremu jednak do życia potrzebna była - hetera ! Rozumie pan całą mizerję takiego związku ? czy pan jest w stanie wczuć się w niego i pojąć, że „szczęśliwe" pożycie małżeńskie było dla niej jedną katorgą ! Nie sądź pan, żeby mimo łączącą nas przyjaźń, to co mówię, polegało na jej zwierzeniach -

ŻMUDA

- Cóż za przypuszczenie ...

IRENA

- Dlaczegożby nie ? - połowa nieszczęśliwych kobiet nie byłaby niemi, gdyby matki umiały czy miały odwagę otworzyć córkom oczy. Otóż co do mnie, co do nas...

proszę, błagam, niech pan to przyjmie spokojnie - co do nas, ja i pan ? - nigdy !

ŻMUDA

/po chwili pracy myślowej, zupełnie matowo/ A instynkt typu ?

IRENA

- Instynkt typu ? mego typu ? - Szkoda, że pan nie był na moim odczycie. Wiè pan, co on mi powie ? Że jeśli zechcę być matką /z naciskiem na każdym wyrazie/ a mam do tego prawo --

ŻMUDA

/z łagodną, przyjacielską refleksją/ Panno Ireno -

IRENA

/z mocą i stanowczością/ To - nią - będę !

ŻMUDA

/urywa się, z trwogą lecz błagalnie zarazem/ Panno Ireno !

IRENA

- Nie mówmy o tem, sam pan wywołałeś. Za szczerość - szczerość. /siada przy stole/

ŻMUDA

/jak podcięty, wcześniej niż Irena siadł przy biurku,- tępo i bezmyślnie/ Co się z panią stało ? - co się to stało... ja pani nie poznaję...poprostu nie poznaję... /pauza/

IRENA

/widząc,jak bardzo jest złamany,-przyjaźnie/ Czy to

prawda, co mi mówiono, że pan jest bliskim odkrycia serum antituberkulicznego ?

/Pauza/

IRENA

- Czy pan w tem idzie metodą Kocha czy własną ?

/Pauza/

ŻMUDA

/jakby budząc się/ Ja sobie pójdę, dobrze ? /wstaje/

IRENA

- Jeśli pan musi... Ale jeśli pan może zostać...

ŻMUDA

/machinalnie siada/

IRENA

- Rok z panem nie rozmawiałam, tak po dawnemu.../pauza/ Nawet na moją promocję nie zajrzał pan do auli. /podchodzi do biurka/ Brakowało mi tam pana, uścisku dobrej pańskiej dłoni śród tylu obojętnych i tyluż z pewnością zawistnych.- A wie pan ? profesor coś bąka, że jak skończę moją nową pracę, to za rok, dwa pomoże mi do habilitacji. Jeszcze możemy być kolegami. /bierze go za rękę,- z prośbą w głosie/ Będziemy zawsze dobrymi kolegami, prawda ?

/Z ogrodu, gdzie już źmierzchło,- również i w pokoju zapadła już szarówka - wchodzą śród pogwaru ożywionej rozmowy ŻUNIA i SZCZĘSNY GŁODNIEWICZE, JANKA MIŁOCKA i SOLIŃSKI, za nimi - opóźniona o kilka kroków IDA FETT/

S c e n a 5.

IRENA

IRENA

/w pierwszej chwili nie poznając ich pod światło drzwi/ Tam kto ? - Ach, to wy ! /podchodzi ku nim/ Tędy ?

ŻUNIA

/ukazując w lewo na mieszkanie Łęskich/ Zawsze to bezpieczniej obejść prokuratora -

GŁODNIEWICZ

/z giestem w stronę ogrodu/ Zwłaszcza, gdy się po złodziejsku wchodzi przez niedomkniętą furtkę.

IRENA

/podejściem ku nim zatrzymała ich przez chwilę w głębi, wita się z nimi,- na ostatku z Solińskim/ Miło mi powitać pana u siebie.- A gdzie reszta ?

MIŁOCKA

- Julka ? Została jeszcze i dorzyna na pobojowisku różne dziewice w bieli.

IDA FETT

/weszła, mijając Irenę daje jej klapsa w ramię i wita krótkiem „servus".- Świadoma mieszkania, idzie ku prawemu obramieniu arkady werandy,- tuż za plecami Żmudy - i szuka na nim kontaktu elektrycznego, zapalającego świecznik nad stołem/

GŁODNIEWICZ

/do Ireny z emfazą komplemencisty/ Istotnie pani, zaraz po jej pierwszych replikach, sala była już tylko pobojowiskiem. Tak parować cięcia - winszuję.

/Drzwiami z lewej wchodzi KASIA, wnosząc tacę z tartynkami i karafinkę wódki/

IRENA

/idąc odebrać od Kasi tace, które odebrawszy stawia na dalszej bibljotece - w czem Soliński pragnie jej dopomódz, ale Irena dziękuje mu odmownym giestem głowy - w odpowiedzi Głodniewiczowi/ Ta pochwała z ust championa naszych szermierzy napawa mię dumą.

KASIA

/wychodzi w lewo/

GŁODNIEWICZ

- Niech mi pani wierzy, że w tem, co mówię, niema cienia przesady. To nie komplement, tylko szczera prawda.

/Podczas tego Ida Fett znalazła kontakt i przekręca go. Naprzód zapalają się dwie lampki, potem wszystkie,- dla ich zbyt rażącego światła,przekręca kontakt raz jeszcze i wraca do umiarkowanego światła. Miłocka i Żunia, które zatrzymały się za stołem, spostrzegają Żmudę/

ŻUNIA

/trącając Miłocką i wskazując jej Żmudę/ Patrzaj, patrzaj.

/Z lewej wchodzi znów KASIA, niosąc kieliszki i szklanki, IRENA znów je od niej odbiera i stawia na bliższej bibljotece/

MIŁOCKA

/spojrzała na Żmudę, grożąc palcem w stronę Ireny/ Filut z niej.- Poczekaj, nagadam ja jej. /powstrzymywana nieco przez Żunię, idzie ku Irenie/

IDA FETT

IDA FETT

/zauważywszy gest Żuni, którym ukazała Miłockiej Żmudę, obraca się - stała bowiem tyłem do Żmudy, między biurkiem a stołem - poznaje go mimo, że Żmuda dla nadmiaru światła zasłonił oczy ręką/ Tak skromnie w kątku ? /ujmuje jego dłoń/

ŻMUDA

/dotknięty jej obcesowością/ A i tak cię znajdą. /wstaje/

IDA FETT

- Jak się macie ?

ŻMUDA

- Wybornie. /przechodzi ku Żuni i Miłockiej, które nie zdążyły jeszcze zasypać pytaniami Ireny.- Ida Fett nie skonfundowana tem bynajmniej, zdejmuje kapelusz i kładzie go na biurku/

ŻMUDA

/do Żuni i Miłockiej/ Witam panie. /skłania się lekko przed nimi, ręką posłał powitanie Solińskiemu, który kręcąc swą rzadką kozią bródkę, podpiera bibljotekę za szezlongiem/

MIŁOCKA

- Nareszcie pokazał się pan znów między nami.

ŻUNIA

/trzpiotliwie i podlotkowato/ A czy tęsknił choć troszeczkę ?

ŻMUDA

- I jak jeszcze. Dowodem ta siwizna.

IRENA

/z pewnym niepokojem ale zarazem nie bez zadowolenia kobiecej próżności, obrzuca go badawczem spojrzeniem/

ŻUNIA

/wspinając się na palcach, by obejrzeć ową siwiznę Żmudy/ Nie ! pan sobie ten kosmyk posrebrzył !

ŻMUDA

- Notabene w ogniu, żeby było trwalej.

IRENA

/nie przestając się krzątać, poważnie/ Czas to spatynuje, a ogień się wytli.

ŻMUDA

/dobrodusznie/ Tem też pocieszam się jedynie. /zapuszcza się w rozmowę z Żunią i Miłocką/

IDA FETT

/która wróciwszy do biurka i giestem głowy przyzwawszy Głodniewicza, ogląda nibyto posąg Wenus - a gdy przyzwany stanął przy niej, jedną ręką wodzi w powietrzu rzekomo krytykując rzeźbę, a lewą, z otwartą dłonią, mając ją zasłoniętą osobą Głodniewicza - do tegoż półgłosem/ Daj mi klucz od zatrzasku.

GŁODNIEWICZ

/zaskoczony tem/ Po co ?

IDA FETT

- Ciszej ! /obejrzała się nerwowo, prawą ręką ilustrując wciąż rzekomą dyskusję estetyczną/ Zgubiłam swój i nie mogłabym się dostać do pokoju.

GŁODNIEWICZ

- Przygarnę -

IDA FETT

/odmawiając gestem głowy, z udanem ziewnięciem/ Jestem niewyspana.

GŁODNIEWICZ

- Daję ci słowo, przeniosę się na otomankę.

IDA FETT

/znów obejrzawszy się nieco, gestykulując w stronę rzeźby/ Dziś chcę być u siebie.

GŁODNIEWICZ

/podejrzliwie/ Tak ? - ażeby...

IDA FETT

- Co ?

GŁODNIEWICZ

- Mieć zapewnioną na dziś samotność, oczywiście... względną.

IDA FETT

- Jesteś podły i głupi.

GŁODNIEWICZ

- Rozumiem i - nie dam.

IDA FETT

/opuszczając wyciągniętą po klucz dłoń/ Jak chcesz. Jeszcze stać mię na hotel i nowy zatrzask do drzwi. A że nowego swoim już nie otworzysz - to pewna.

GŁODNIEWICZ

/zmieszany groźbą, prosząco i namiętnie/ Duśka, miałabyś sumienie w taki żarem dyszący wieczór, w taką noc rozpachniałą akacjami... Duśka ! /sięga po kluczyk/

IDA FETT

- Nie dziś. /wyciąga znów dłoń - odbiera klucz/ Oddam ci jutro w prosektorjum.

ŻUNIA

/podchodząc z lewej/ Co wy wiecznie jakieś konszachty macie ze sobą ?

GŁODNIEWICZ

/nieco zbyt pospiesznie, ukazując na rzeźbę/ Konszachty ? - Poprostu mała utarczka estetyczna w kwestji anatomji, ale ty się na tem nie rozumiesz. /idzie ku środkowi, dokąd także Żmuda podchodzi - podczas gdy Miłocka siada na szezlongu i rozmawia z Solińskim, zaś Irena wychodzi na chwilę drzwiami w lewo/

ŻMUDA

- Jak to dobrze, że pana spotykam. /witają się/ Właśnie miałem pisać do niego. Zamierzamy - to jest profesor - zaapelować znowu do pańskiego zdrowia.

GŁODNIEWICZ

/nie bez samochwalstwa/ Litr ? dwa litry ? trzy litry?

IDA FETT

/z sarkazmem/ Najlepiej wszystką.

ŻUNIA

/przerażona/ Co ? znowu transfuzja ? Snuś, to niepodobieństwo ! /do Żmudy/ Panie profesorze, dopiero mu rumieńce wróciły. /do Głodniewicza/ Ja na to nie pozwolę.

GŁODNIEWICZ

- Daruj Żuniu, ale moja krew do mnie należy. /do Żmudy/ Po krwotoku ?

ŻMUDA

- Nie, leukemia. Ten sam pacjent.

GŁODNIEWICZ

- Ten sam ?... /zamyśla się/

IRENA

/wraca z lewej, niosą ciasta i owoce - i ustawia je na stole jadalnym/

ŻUNIA

- Snuś, słyszysz ? ja na to nie pozwolę.

IDA FETT

/podchodząc do Żuni/ Słuchajcie, każdemu wolno sobą dysponować. Wszystkie my : ja, wy, ona /wskazałana Irenę/ o to tylko walczymy. „Nie pozwalam" - to było dobre na polskich sejmach, ale to nie jest argument. Co to jest „nie pozwalam" ? Chce ktoś komuś dać krwi, bo ma jej zadużo, niech da, byle z sensem to robił. Ale tu tego sensu nie widzę. Bo jeżeli to leukemia i raz już nie pomogło...

ŻUNIA

- Naturalnie, że nie pomoże. Snuś, pomyśl, znowu dłuższy czas ani wiosła do ręki, ani rapieru -

GŁODNIEWICZ

- Wstydź się, Żuniu. Drobną ofiarą swoich upodobań przedłużyć komuś życie -

IDA FETT

- A sobie skrócić -

ŻMUDA

ŻMUDA

- Zastrzegam się, że nie może tu być mowy o żadnym nacisku z którejkolwiek strony. Ale doświadczenia choćby ze staromodnem puszczaniem krwi wykazały, że dla silnych, tak jak pan, bezprzykładnie zdrowych organizmów... /przy ostatnich słowach Żmudy, Irena z dziwnym jakimś pełnym wewnętrznego skupienia wyrazem woczach, spojrzała na Głodniewicza; spojrzenie to jest krótkie i bardzo dyskretne, zamarkowane przerwą ,w krzątaniu się przy stole i chwilą zapadnięcia w głąb swych najtajniejszych, półświadomych myśli/

GŁODNIEWICZ

/wpadając Żmudzie w słowa/ Oczywiście. /do Żuni/ Najlepszy dowód, że czuję się, jak tur. /do Żmudy/ Nie przyrzekam jeszcze, ale i nie zarzekam się. Chciałbym jedynie zasięgnąć u profesora pewnej rady co do... /zniża głos, bierze go pod ramię i odchodzi ku drzwiom w głębi,- obaj twarzami ku sobie flankują odrzwia, zajęci żywą rozmową/

MIŁOCKA

/porzuca Solińskiego, ująwszy Irenę pod rękę, zbliża się do Żuni i Idy Fett/

ŻUNIA

/do Idy Fett/ Na Boga, wyperswadujcie mu to.

IDA FETT

- Czyż nie widzicie, że to łechce jego próżność. Jego stać na to, żeby komuś zafundować jeszcze miesiąc, dwa charłackiego życia. Na to niema rady.

MIŁOCKA

- Was jednak usłuchałby.

IDA FETT

- Dziwnie zaakcentowaliście to „was".

MIŁOCKA

- Nie rozumiem...

IDA FETT

- I ja niebardzo. /wzruszywszy ramionami,odchodzi do oranżerji i znika w niej/

ŻUNIA i IRENA

/obrzucają Miłocką pytającem spojrzeniem/

MIŁOCKA

/naprawiając zdradzenie się ze swymi domysłami/ To przecież takie naturalne.- Ciebie nie posłucha, boś siostra,- z nami widuje się raz na jakiś czas, a z nią po całych dniach. /popychając lekko Żunię/ Idź i udobruchaj ją.

ŻUNIA

/odchodzi do oranżerji/

IRENA

- Powiedz mi Janka, czy to...nożyce się odezwały ?

MIŁOCKA

/wymijająco/ Et, zdawało się jej,- nie kładłam żadnego specjalnego akcentu.

/Z lewej wbiega JULKA SZAŁWIŃSKA, za nią wsuwa się nieco onieśmielony ŻŁOBICKI. Odziany z wyszukaną elegancją, monokl na sznurku, mówi jakby „z łaski", zmęczonym głosem i zblazowanym/

Scena 6.

MIŁOCKA

- No, jesteście. /idzie ku przybyłym/

SZAŁWIŃSKA

/rzuciwszy w przelocie całusa Miłockiej, dopada Ireny/ Irka, Irka, niech cię uściskam. Victoria ! Ja miałam pewne obawy - tymczasem sukces na całej linji, niebywały, bajeczny !

IRENA

- Nietyle mój, co wielkiej idei rzuconej śmiało i szczerze.

/Podczas gdy obie rozmawiają na przedzie, MIŁOCKA przywitała się i zamieniła kilka słów ze Żłobickim. Równocześnie Żmuda i Głodniewicz opuścili swoje stanowisko we drzwiach ogrodu i rozmawiając,zaczęli przechadzać się między drzwiami a stołem. Gdy podeszli do Miłockiej i Żłobickiego, którzy przesunęli się nieco ku środkowi, Głodniewicz wita się ze Żłobickim, poczem przedstawia go Żmudzie.- Korzystając z tego, Miłocka nawiązuje rozmowę z podpierającym wciąż bibljotekę Solińskim i po kilku słowach, łączy się z wracającymi z oranżerji Żunią i Idą Fett.- Żmuda zamienia kilka słów ze Żłobickim, który pogląda raz wraz ku Irenie, pragnąc powitać w niej panią domu.- Głodniewicz zostawiony sam sobie, łączy się z Miłocką, Idą Fett i Żunią/ .

SZAŁWIŃSKA

- To właśnie podbiło audytorjum. Słuchano cię z zapartym oddechem. Oczywiście dziewice comme il faut

zaczną cię szkalować, na to bądź przygotowaną. Ale gwizdaj na to, na całą tę gęsiarnię. W oczach wszystkich myślących,od narybku do osiwiałych w boju przodowniczek, czytałam aprobatę naszego stanowiska. I nietylko u nich, u wszystkich. Dość powiedzieć, że nawet ten latający Holender... /wskazuje na Żłobickiego,- on to zauważył i jeszcze odpowiadając coś Żmudzie, pragnie widocznie odejść, by się przywitać z Ireną/

IRENA

/nieco ciszej/ Tyś go przyprowadziła ?

SZAŁWIŃSKA

- Sam się zaprosił. A tak mię pilnował, że wstępując po drodze do jakiegoś sklepu, kazał mi na siebie czekać.

IRENA

- Sans façon,- nie wiem dlaczego, ale mam do niego awersję, poprostu brzydzę się nim.

SZAŁWIŃSKA

- Zamknij na to oczy,- dla Żuni. Leci na niego. Dla niej był na twoim odczycie.

IRENA

- Tak ? - Stało się, przecież go nie wyrzucę. /idzie ku niemu.- Żłobicki z giestem „przepraszam", zostawia Żmudę samego i podchodzi ku Irenie.- Szałwińska idzie w prawo ku pianinu, złożyć na niem kapelusz i rękawiczki,- po drodze wita się ze Żmudą i zapuszcza w rozmowę podczas której przechodzą oboje do biurka.

Grupa Miłockiej, Idy Fett i Głodniewicza,- od której oddzieliła się Żunia i przystanęła koło pianina - zeszła ze schodów i stoi za stołem,- Soliński w dalszym ciągu podpiera szafę bibljoteczną/

IRENA

/do Żłobickiego/ Słyszę, że i w panu miałam dziś słuchacza. Pierwszy raz chyba zajrzał pan do naszego Babina.

ŻŁOBICKI

/z grzeczną złośliwością/ Przeciwnie pani, jestem w nim jak w operetce stałym bywalcem i ja to raczej mógłbym o pani powiedzieć, że ją tam rzadko widuję. Tem większa dla mnie strata po jej dzisiejszem plaidoyer. /zakładając monokl i przypatrując się jej nieco impertynencko/ Kapitalny. Posłałem już o nim telegraficzne sprawozdanie do... Marcela Prevost.

IRENA

/zrozumiawszy docinek,z odcieniem pogardy/ Tak ? - a za to należy się panu conajmniej kolacyjka. /giestem obejmując wszystkich obecnych/ Hej, ludzie, nie jesteście jeszcze głodni ? bo ja djabelnie. /z giestem ku szafie bibljotecznej,z tartynkami i wódką/ Dla spirytystów - bibljoteka. Ida, zechciejcie mię wyręczyć w tym dziale i sama świećcie przykładem. /GŁODNIEWICZ, Ida Fett, Żłobicki i Soliński piją i zakąsają/ Żunąka, przestań brząkać,- najpierw granity, potem tęcze. /do Miłockiej, która nie pije/ Janka, przynajmniej ty nie każ się prosić,- siadajcie. /zwracając się i krokiem, dwoma podchodząc ku biurku,

gdzie już zasiedli Szalwińska i Żmuda/ A ty, Julka, wolisz z profesorem przy kaceutiszu ? /wobec jej gestu/ Ależ siedź, owszem, tylko już zaopiekuj się nim należycie. Zaraz dam wam talerze. /idzie do stołu, nakłada dla nich/

ŻŁOBICKI

/z tartynką i kieliszkiem na talerzyku, podchodzi do stołu, do którego zasiada Żunia/ A „to-to" nie napije się z nami ?

ŻUNIA

/z udanym dąsem/ Nareszcie raczył mię pan zauważyć.

ŻŁOBICKI

- Marzę tylko o tem, ażeby się z panią trącić. „To-to" jest dzisiaj urocze. Trąćmy się. /podaje jej/

ŻUNIA

- A pański kieliszek ?

ŻŁOBICKI

/z wyrazem zawodu/ Kieliszkiem ?... /idzie do bibljoteki i wraca niosąc karafinkę z wódką.- wszyscy prócz Ireny siedli już przy stole/

SZAŁWIŃSKA

/do Żmudy, przy biurku/ Niech pan żałuje, świetnie go opracowała. Bo też i temat wdzięczny. Pozornie zacieśniony, ale w ustach kobiety, jakże rozległy, bezdenny, otchłanny ! Ileż mieści się w tych kilku wyrazach: „Mam prawo być matką".

IRENA

/zbliża się ku nim z talerzami/

ŻMUDA

/nie widząc jej, stoi bowiem jeszcze obrócony do niej plecami/ To było treścią odczytu ?

SZAŁWIŃSKA

- Taki był tytuł. Treść olbrzymia, wieczna, bezmała jak dzieje ludzkości.

IRENA

/za plecami Żmudy,dając jej znaki,żeby nie rozgadywała się zanadto/ Uprasza się nie mówić o stryczku w domu powieszonego.- Profesorze, wódeczki.

ŻMUDA

/obrócił się, odebrał swój talerz/ Mam jeszcze coś pisać w nocy,- dziękuję.

IRENA

/wraca do stołu/

ŻMUDA

/do Szałwińskiej siadając po jej lewej ręce/ Proszę, niech pani kończy. Bardzo mię to interesuje.

SZAŁWIŃSKA

- Naprzód podała prelegentka rys historyczny stanowiska kobiety w ogólności a więc: życie w gromadzie, Lubbokowski matriarchat... /rozmawiają dalej,- Żmuda słucha jej z attencją, ale równocześnie strzyże wciąż uchem w stronę głównego stołu/

IDA FETT

/do Żłobickiego nieco podrażnionym głosem/ Widzę, niebardzo się na tem znacie choć za kulisami była po temu sposobność. Spróbujcie czy nie tnie szkła.

/dotknąwszy kolczyka w uchu/ Mam go wyjąć ?

ŻŁOBICKI

/z giestem „uchowaj Boże"/ A, jesteście bądźcobądź kobietą a ja z nimi zawsze na wiarę.

ŻUNIA

- Zasługujemy na nią podczas gdy wam wszystkim na imię: niewierny Tomasz.

ŻŁOBICKI

/wyzyskując jej naiwność/ Dopóki nam nie pozwolą włożyć palca.

/Głodniewicz siedzący obok daje mu skrycie szturchańca,- Żmuda posłał groźne spojrzenie/

IRENA

- Jednak od prawdziwych, bolesnych ran trzymacie je zdaleka, och i jak zdaleka ! Wy ich nawet widzieć nie raczycie.

ŻŁOBICKI

- Aseptyka przedewszystkiem a nasze nieczyste spojrzenia... /to mówiąc „zapuszcza żórawia" za gors Żuni, która piecze raka/

IRENA

- Dyskusja ustaje z kimś, u kogo tylko żart na ustach. Ironja i kpiny to wasza metoda w stosunku do nas, do naszych dążeń, naszych ideałów, naszych zmagań się z ociężałością i bezwładem przesądu o rzekomej niższości kobiety. A jednak główne brzemię życia - /widząc, że Żłobicki chciał zapalić papierosa, ale mu go Głodniewicz wyrwał, nawiasowo/ papierosy na biurku, zaraz

będzie czarna kawa - /podnosi się, naciska gruszkę dzwonka nad stołem/ główny jego ciężar zwalił się na nas. Jeżeli - choć to jeszcze pytanie - trudzicie się więcej od nas, to ten znój i mozół osładza wam rozkosz tworzenia nowych wartości życia i nowych jego form.

/Podczas następnej utarczki między Idą Fett i Żłobickim toczy się niema scena między Ireną a Kasią, która zaraz po dzwonku weszła z lewej niosąc na tacy maszynkę do kawy i dwie butelki szampana. Kiedy stawia maszynkę na stole Irena giestem zdziwienia pyta ją, skąd wzięła szampana ? Kasia stojąc za plecami Żłobickiego objaśnia, że to jego sprawka. Irena hamuje oburzenie i każe jej flaszki zabrać z powrotem. Zanim jednak Kasia zrozumiała ten jej niemy rozkaz siedząca obok Żłobickiego Żunia sięga po jedną butelkę i z potrząśnięciem głowy „ho-ho" stawia ją na stole, co widząc Kasia stawia drugą na stole i wychodzi w lewo/

IDA FETT

/wpadając/ Form ? - za pozwoleniem, to chyba lapsus. Nowych form ? - te tworzymy właśnie my !

ŻŁOBICKI

- No, z naszym łaskawym współudziałem, za co niech będzie chwała Allahowi.

IDA FETT

- Z was jak szydło z worka wyłazi zawsze hedonizm.

ŻŁOBICKI

- „To-to" słyszało, co ze mnie wyłazi ?

IDA FETT

- Tak jest,- hedonizm !

ŻŁOBICKI

- Czyż wy go nie uznajecie ?

IDA FETT

- O ile pamiętam, tom się wam nie zwierzała.

ŻŁOBICKI

/rycersko-grzecznym tonem maskując złośliwość/ Niestety.- Ale wnosząc z teorji o cierpkim losie kwiatów, cierpkim dlatego, że ich nie uszczknięto... Ale może teorja ta nie jest waszą ?

IRENA

/do Żłobickiego/ Czy mogłabym prosić o prowadzenie dyskusji bez osobistych wycieczek ? /do Idy Fett/ Z waszych ust padło słowo, którego dawno szukałam. Hedonizm - oto jest punkt widzenia mężczyzny i zasadnicze jego stanowisko. Trwajcież sobie na niem i marnujcie się, skoro chcecie, ale nie zagradzajcie nam drogi.do wyższych, idealnych celów. Bądźcie - skoro tak być musi - twórcami w dziedzinie materji; my nawet za cenę pewnego upośledzenia sięgniemy poza nią. Niech wasze krzepciejsze a może tylko brutalniejsze ramiona borykają się z opornym wątkiem,- dla nas pozostaje antyteza materji: z chaosu jej wysublimowany duch !

ŻŁOBICKI

/trącając się z Żunią napełnionym tymczasem dla niej i dla siebie kieliszkiem/ „To-to" słyszało ? - duch czyli spirytus.

/Żmuda posyła mu znów podrażnione spojrzenie/

MIŁOCKA

- Tak jest, naszą dziedziną duch !

/krótka pauza/

SOLIŃSKI

- Pani dziwnie rozdziela te dwa światy.

IRENA

- Widział pan syntezę bez analizy ? Rozdzielając nierozdzielne jesteśmy dopiero w stanie odkryć i określić wzajemny stosunek składników i rolę każdego z nich. Otóż dzięki wam - temu nie myśli nikt przeczyć - biorę z nas początek nowe pokolenia, ale istota ich, ich ostateczna treść, krótko mówiąc: dusza - nie w waszej jest mocy !

IDA FETT

- I od niej, panowie, hands opp !

IRENA

/zapalając się/ Dostarczycielami gliny jesteście wy, ale myśmy jej rzeźbiarkami !

MIŁOCKA, ŻUNIA i SZAŁWIŃSKA /od biurka/

- Brawo, brawo !

IRENA

- Co my z niej ulepimy tem wy dopiero jesteście względnie będziecie. W tem snycerstwie ducha nie każdej dano być Michałem Aniołem czy Rodinem, ale każdą z nas stać na to, aby panować nad wątkiem, jak artysta hojny, szczery a przedewszystkiem wolny !

/do Żłobickiego/ Wiem do czego zmierza pański uśmieszek. Nasze dążenia raczyliście - jak to szlachetnie ! - ochrzcić mianem „wolnej miłości", aby je ośmieszyć i opluć. Nakleiwszy etykietkę „trucizna" tuszycie, że nikt jej nie tknie ! Lecz my wam udowodnimy, że nawet przez Golgotę na wasz sposób pojętej wolnej miłości pójdziemy nieustraszone sięgnąć po wolność pojętą na nasz sposób,- wolność kształtowania od kiełka nowych, czystych, nieskażonych dusz !

SZAŁWIŃSKA

/porwana wymową Ireny porzuciła Żmudę i podeszła do głównego stołu/ I tej wolności nie damy wam sobie odebrać.

MIŁOCKA

- Nigdy,- to sobie zapamiętajcie: nigdy !

ŻŁOBICKI

/wznosząc kieliszek/ Evoe vita !

/sekunda milczenia/

SOLIŃSKI

/który kręcąc bródkę pilnie słuchał Ireny/ Wszystko to ślicznie pięknie ale...

SZAŁWIŃSKA

- Tu nie ma żadnych: ale.

SOLIŃSKI

- Ośmielę się zauważyć...

SZAŁWIŃSKA

- Mianowicie ?

SOLIŃSKI

- Cel kobiety został dziś przez szanowną prelegentkę bardzo szlachetnie postawiony ale... in abstracto. Gdy bowiem zapytamy o sposób osiągnięcia tego celu...

GŁODNIEWICZ

- Trafimy na sęk.

ŻŁOBICKI

- Proszę cię, bądź przyzwoity.

IRENA

/do Solińskiego/ O co panu chodzi ?

SOLIŃSKI

/zakłopotany/ Hm, jakżeby to powiedzieć...

ŻUNIA

/podniosła się już przed chwilą i przeszła ku pianinu/

ŻŁOBICKI

/do Solińskiego/ Panu zdaje się chodzi o sposób, o modus procedendi ? - Bardzo prosty: nie wierzy się gębie i kładzie na zębie.

/Głodniewicz ledwo może wstrzymać się od parsknięcia śmiechem,- Ida Fett machnęła ręką lekceważąco - Irena, Miłocka i Szałwińska nie wiedzą gdzie oczy podziać,- Soliński z obrzydzeniem spojrzał na Żłobickiego z ukosa i kręci dalej swą bródkę/

ŻMUDA

/drżącym z oburzenia głosem/ A zna pan przysłowie: nie licz na zęby, bo nie obronią gęby ?

ŻŁOBICKI

/chce się zerwać, lecz siłą przez Głodniewicza wstrzymany siada,- zaczerwienił się ale momentalnie opanował,- obracając obelgę w żart, nie bez chęci wytknięcia Żmudzie jego chłopskiego pochodzenia/ Kapitalne.- Z pewnością chłopskie.

ŻMUDA

/karcąco lecz już spokojnie/ Ale nie chamskie. /zapala papierosa/

/Chwila milczenia i ciszy przed burzą, którą zażegnuje Żunia wzięciem kilku akordów na pianinie, po których zaczyna grać menueta Paderewskiego. Zrazu wszyscy milkną, po kilku taktach Żłobicki podchodzi do pianina, opiera się o nie i słucha,- reszta przy stole rozmawia półgłosem. O czem toczy się rozmowa ? nie słychać ale słychać jej pogwar. Po przegraniu pierwszej części z kantyleną, Żunia plącze się i przestaje grać/

ŻUNIA

- Zapomniałam jak dalej idzie - darujcie.

GŁODNIEWICZ

- Wstydź się,- to mi pianistka.

ŻŁOBICKI

- A może „to-to" pamięta który prelud Chopina ?

MIŁOCKA

- Organowy, organowy, moja złota.

ŻUNIA

/próbuje preludu/

MIŁOCKA

- Ten, ten. Ileż w nim modlitwy i ukojenia.

/Zwolna w ogrodzie rozjaśnia się światłem księżyca. Żunia gra uroczyście, Miłocka słucha z najwyższą uwagą,- Głodniewicz szepce coś z Idą Fett,- Irena zapuszcza się z Solińskim w ożywioną rozmowę.- Żłobicki korzystając z tego podchodzi do biurka, bierze z niego papierosa, i niby zapalając go /zapałka mu gaśnie/ mówi do Żmudy/

ŻŁOBICKI

- Pan mi za to odpowiesz.

ŻMUDA

/nie spojrzawszy na niego sięga ręką do tylnej kieszeni spodni i słucha muzyki/

ŻŁOBICKI

/pochylając się nieco ku niemu, dobitniej/ A może pan zasadniczo nie odpowiada za swoje...

ŻMUDA

/spojrzał na niego,- korzystając że jest jego osobą przed obecnymi zasłonięty, wyciąga rewolwer, z kamiennym spokojem/ Jak komu -

ŻŁOBICKI

/szybkim ruchem sięga po monokl/

ŻMUDA

/w mniemaniu, że grozi mu policzek równie szybko mierzy mu w pierś/

ŻŁOBICKI

- Ha-ha-ha ! /śmiejąc się cicho, zakłada monokl i

przygląda mu się bezczelnie/

SZAŁWIŃSKA

/która od stołu dostrzegła z tego coś niecoś, podchodzi ku nim. Żmuda chowa rewolwer/ Prawda, jakie to cudne.

ŻŁOBICKI

/po ruchu głowy i zachowania się Żmudy domyślił się, że się ktoś zbliża, odwraca się żywo/ O tak, pani ma rację. To jest modlitwa i ukojenie.

/Chwilę jeszcze rozbrzmiewają akordy preludu, których grupa przy biurku dosłuchuje w zupełnem milczeniu, podczas gdy toczą się dotąd półgłosem między Ireną i Solińskim rozmowa nabiera coraz żywszej gestykulacji, tempa i tonu kontrowersji i występuje jasno z chwilą zamilknięcia akordu Żuni/

IRENA

/b.podniecona/ Ach tak ? - tu-m was czekała ! Więc w rezultacie ostatnim waszym argumentem jest ta łyżka strawy i ten dach nad głową ? Jakie to ohydne ! Otóż - słyszy pan ? - my tej łyżki strawy od was nie chcemy, my tego dachu nie szukamy, na soczewicę nas nie weźmiecie ! /Żunia, Miłocka, Żłobicki podchodzą do głównego stołu wraz z Szałwińską i Głodniewiczem /który się podniósł/, obstępują dyskutujących i przysłuchują się utarczce.- Żmuda spojrzał na zegarek, zgasił papierosa, z portfelu dobył bilet i przełożył go do kieszonki kamizelki, wstał, poprawił na sobie ubranie jak czyni się przed odejściem i z chęcią pożegnania towarzystwa, staje w kole słuchaczy. Podał rękę Głodniewiczowi, Miłockiej i Szałwińskiej,- Idzie Fett skłonił się głową zdaleka i wyczekuje na chwilę pauzy

w dyskusji, aby módz pożegnać Irenę. Szałwińska widzi to i radaby zwrócić na to uwagę Ireny, lecz jeszcze wstrzymuje się od przerwania jej słów/ Damy sobie radę same ! Ażeby dopiąć swego, ażeby spełnić posłannictwo kobiety tak, jak ja je rozumiem, stajemy do życia z zakasanymi rękoma i prędzej później zrzucimy hańbiące nas jarzmo ! Pan myśli, że dla zadowolenia próżności zrobiłam doktorat ? /wskazując na Idę Fett/, że ona wdycha w prosektorjum trupie jady a Żuńka traci w aptecznych wyziewach anielską słodycz swej dziecięcej twarzyczki po to jedynie, ażeby się wkupić w wasze względy? lepiej sprzedać ? Czyżbyście i wy robili to w takim tylko celu a nie z wyższych pobudek ? Nie odmawiajcież nam człowieczeństwa !! A jeżeli chodzi o przekroczenie tego - jak go pan nazwał - Rubikonu, choćbyśmy ryzykowały więcej niż zaryzykował Cezar, bo prócz życia i sławę, to my go prze-kro-czy-my ! /Szałwińska trąciła ją - Irena niezdolna urwać wywodów odrazu, jeszcze do Solińskiego ale już podając rękę Żmudzie/ Tak jest, my go...

ŻMUDA

/trzymając jej dłoń, suggestywnie/ Nie przekroczymy.

IRENA

/wyrywając rękę, w najwyższem podrażnieniu, z ironją/ Czy dlatego „nie", że pan przez niego nie przerzuci mostu ?

ŻMUDA

- Dlatego, że nad samym brzegiem staniecie.

IRENA

IRENA

- Jest pan tego absolutnie pewny ?

ŻMUDA

/unikając prowokacji, przyjaznym tonem/ Odpowie mi pani na jedno małe pytanie ?

IRENA

/krótko, twardo, dumnie/ Słucham.

ŻMUDA

/j.w./ Pani poświęca się psychologji... Czy z dotychczasowych jej danych można już budować równania zdolne choć w przybliżeniu ustalić niewiadomą ?

/Soliński pokręcając bródkę, wykłada coś pokątnie, przez co więzi uwagę Żuni, Miłockiej i Głodniewicza - Ida Fett i Szałwińska biorą raczej udział w kontrowersji Ireny ze Żmudą,-Żłobicki nieco w lewo za stołem trzyma się na uboczu/

IRENA

- Do czego to zmierza ?

ŻMUDA

/miękko i łagodnie/ Można czy nie można ?

IRENA

- Nie.

ŻMUDA

- W dyskutowanej tu tak gorąco kwestji jest obok wielu, wielu innych, taka właśnie maleńka niewiadoma. Zwie się - sercem.

IRENA

IRENA

/z pewnem rozczarowaniem w głosie/ Z tej beczki zaczynamy.

IDA FETT

/machnąwszy ręką/ Już dawno myszką trąci. /odciąga Szałwińską ku grupie zagadanej z Solińskim/

ŻMUDA

/do Idy Fett/ Jak dla kogo. /do Ireny/ Tej niewiadomej, tego „mięśnia" nie zakujesz w łańcuchy najbardziej żonglerskich syllogizmów. I tu, tu, nie gdzieindziej jest Rubikon. Ma pani pewność, że w nim nie utoniesz ?

IRENA

- Niema zwycięstw bez ofiar. Trzeba będzie dać krew - dam krew !

ŻMUDA

/ujęty jej zapałem, ze współczuciem/ Męczeństwo się pani marzy... Rozumiem. To piękny sen. Niech go więc pani śni, ale... tylko śni. /wyciąga dłoń/ Dobranoc.

IRENA

/nie podając mu swojej, podrażniona/ To jest ta - niegdyś - pańska wiara we mnie ?

ŻMUDA

- To jest obecna moja wiara w to wszystko, co w pani drzemie nieświadome. /kłania się jej, do zagadanych przy stole/ Dobranoc, och, nie przerywajcie sobie, proszę. /żegna ich giestem i zmierza ku drzwiom w lewo/

IRENA

IRENA

/stoi bez ruchu,podrażniona i zadumana/

/Reszta giestem tylko odpowiedziawszy na gest Żmudy, rozmawia żywo ze Solińskim/

ŻŁOBICKI

/doganiając Żmudę blisko drzwi/ Za pozwoleniem,- słóweczko...

ŻMUDA

/nieledwo przez ramię podając mu bilet/ Bywam w domu codziennie między drugą a czwartą. /wychodzi/

ŻŁOBICKI

/żywo schował bilet, zawraca ku stołu/

S c e n a 7.

IDA FETT

/zaledwo Żmuda zniknął za drzwiami/ Toż-to zarozumiała sztuka.

MIŁOĆKA

- Profesorskie kazańko.

ŻUNIA

- Paradny, za dzieci nas ma.

ŻŁOBICKI

/przekomarzając się z nią/ I utarl nam nosiećka.

SZAŁWIŃSKA

/która nie spuszczała oczu z Ireny,podczas jej rozmowy ze Żmudą,a od chwili sonduje ją badawczo/ Irko, no, Irko ! /podchodzi do niej/

IRENA

IRENA

/automatycznie/ Co takiego ?

SZAŁWIŃSKA

- Nic sobie z niego nie rób.

IRENA

/wpatruje się w nią,- reprodukując z pamięci tę jej radę, którą właściwie przesłyszała - z jakimś tajemniczym, szatańskim uśmieszkiem/ Właśnie... nad tem... przemyślam -

SZAŁWIŃSKA

- Nad czem ?

IRENA

/chwytając ją silnie za ramię/ Alea jacta, Julko !

SZAŁWIŃSKA

- Tak cię to ubodło ?

IRENA

- Słuchaj, czy człowiek, którego czyn nie idzie za jego wiarą czy przekonaniem, jest szmatą czy nie jest?

SZAŁWIŃSKA

- Absolutnie jest.

IRENA

/gorąco/ Dziękuję. /wracając do normy, wesoło/ Siadajcie, maszynka pełna mokki.

ŻŁOBICKI

/który tymczasem otworzył z trzaskiem korka butelkę szampana/ Na frasunek lepszy trunek.

ŻUNIA

/dziecinnie/ Mnie, mnie szampana !

GŁODNIEWICZ

/z pustą szklanką intonując na znanę nutę/

Dalej bracia w górę szklanki
Każdy zdrowie swej bogdanki -

ŻŁOBICKI

Bo przy szklance i kochance
Słodko mija czas /detonuje/

ŻUNIA

/zatykając uszy/ Aj-ej, uszy więdną.

ŻŁOBICKI

/refrenuje/ Bo przy szklance...

IDA FETT

- Cicho, cicho. /wskazując na drzwi w lewo/ porządni ludzie śpią już o tej porze. I dlatego proponuję: chodźmy na muzykę.

GŁODNIEWICZ

- Pycha, chodźmy na muzykę - ale gdzie ?

IDA FETT

- W Alhambrze jest wyborny kwartet. Skrzypce !.../całuje palce z zachwytu/

ŻŁOBICKI

/naśladując jej gest/ A cymbały !

MIŁOCKA

/pytając oczyma Solińskiego/ Pójdziemy ? /przytaknął/ Chodźmy zatem.

/Zaczynają wkładać kapelusze i rękawiczki/

ŻŁOBICKI

ŻŁOBICKI

/poczuwszy się w swoim żywiole, improwizując słowa i melodję/ Do Alhambry, do Alhambry
Kawiarnianej łyknąć ambry
Piżma i treffle incarnat -
Paniom lody, nam czarna !

IDA FETT

- Zbierajmy się zatem. /do Ireny/ Pójdziecie ?

IRENA

- Co ? - ach, do Alhambry. Czy ja wiem...

IDA FETT

- Ale chodźcie.

SZAŁWIŃSKA

- Dobrze ci zrobi powietrze.

IRENA

/z nagłą jakąś myślą/ Masz rację.- Ale chyba za chwilę dopiero.

ŻŁOBICKI

- Wiwat polska jednomyślność.

ŻUNIA

/z wyrzutem i prośbą/ Irko !

IRENA

- Pójdę, tylko trochę tu posprzątam. Nie znoszę takiego rozgardjaszu. Jeden z panów /nagle do Głodniewicza/ poświęci się pan dla mnie ?

GŁODNIEWICZ

- Dla pani ? - w ogień.

IRENA

IRENA

/ze zgubionym uśmieszkiem/ Tem lepiej. Zatem za jakieś pół godziny.

IDA FETT

- Będziemy pod trzecią arkadą po lewej stronie.

ŻŁOBICKI

- W Arkadji z lewej ręki.

SZAŁWIŃSKA

/do Ireny/ Czekamy.

IRENA

- Ależ tak,- chyba, żeby... zaszło coś nadzwyczajnego.

MIŁOCKA

/idąc ku drzwiom w lewo/ Wynośmy się.

ŻUNIA

/z palcem na ustach/ Psst, prokurator,- cicho. /otwiera drzwi/

ŻŁOBICKI

- Still Kinder !

ŻUNIA

- Cicho !

ŻŁOBICKI

- A najwięcej „to-to" hałasuje.

/na palcach skradając się, wychodzą - wśród gestów pożegnania ku Irenie i Głodniewiczowi/

S c e n a 8.

IRENA

IRENA

/stając w progu drzwi ogrodowych i wachlując się dłonią, poi się nocnym chłodem/

GŁODNIEWICZ

/podchodzi ku niej/ „Nareszcie sami" można by powiedzieć z poetą. /staje również w drzwiach ogrodu/

IRENA

/nie bez czającej się w głosie ironji/ Powiedział pan rzecz równie głęboką, jak trafną. /spojrzała po gwiazdach/ Ach, jakie to niebo dziś wygwieżdżone ! Gdyby życie nic więcej nie dawało, jak tylko ten widok, już byłoby rajem. ...

GŁODNIEWICZ

/spojrzawszy w niebo/ Na jutro pewna pogoda. Niema to jak piękna czerwcowa pogoda, prawda ?

IRENA

/wpatrzona w niebo, milczy. Pauza/

GŁODNIEWICZ

- No tak... /po chwili z gestem w stronę stołu/ A z tem tu uwiniemy się raz, dwa.../idzie żywo ku jadalnemu stołowi/

IRENA

/idąc w ślad za nim/ Ach, gdzieżbym śmiała pana trudzić. To może postać do jutra,- służąca posprząta. Chciałam poprostu odpocząć. /idzie ku biurku na prawo/ Siadajmy, dobra i chwila.

GŁODNIEWICZ

/siadając obok/ Każda coś nowego przynosi. /pauza/

IRENA

- A może szampana ? szkoda, żeby się zmarnował.

GŁODNIEWICZ

/biorąc poniechaną przez Żłobickiego butelkę/ Niepotrzebnie ją otworzył. /chce jej nalać/

IRENA

/dłonią nakrywając szklankę/ Nie, nie, - nie lubię sztucznych podniet.

GŁODNIEWICZ

- Ja żadną nie gardzę.

IRENA

- Więc niech pan pije.

GŁODNIEWICZ

- Sam ? - Tego nie umiem.- No, choć troszeczkę, byle usteczka umoczyć, jak kanarek, no, dla mego towarzystwa...

IRENA

- Koniecznie ? - Niech i tak będzie,- połóweczkę.

GŁODNIEWICZ

/nalawszy jej i sobie,i trąciwszy się/ Prosit ! /pije,smakując/ Wcale niezły, wcale, wcale.

IRENA

/kosztuje również/

GŁODNIEWICZ

- Całkiem dobry, prawda ?

IRENA

- Taki sobie.

GŁODNIEWICZ

- Niezły, niezły. /pauza/ Pani wspominała dziś o moim championacie. Zajmuje to panią ? - Pani musi dobrze jeździć konno,- myślę; u siebie na wsi. A innych sportów pani nie uprawia ? /IRENA zaprzecza głową/ Nie ? to szczególne, bo pani ma w sobie coś z Amazonek, coś z Amazonek...

IRENA

/z odcieniem szelmostwa w głosie/ O tak, coś z Amazonek mam w sobie, może nawet coś z ich obyczajów.

GŁODNIEWICZ

- Z ich obyczajów ? Co pani ma na myśli ?

IRENA

- Opis Herodota.

GŁODNIEWICZ

- Nie byłem nigdy mólem książkowym. Ale powetujemy to sobie. Zaintrygowała mię pani tak, że muszę...

IRENA

- Nie, niech pan tego nie czyni.

GŁODNIEWICZ

- Taaak ? A, tembardziej muszę. Czyj to opis ? czyj ?

IRENA

- Już poleciało. Niech pan tych badań zaniecha. /kładzie mu rękę na dłoni/ Ja proszę, dobrze ?

GŁODNIEWICZ

/istotnie zdziwiony i zaintrygowany/ Ależ dobrze, dobrze.../spojrzawszy na nią uważniej/ Pani jest jakaś naprawdę zmęczona.

IRENA

- Oczy mię bolą.

GŁODNIEWICZ

/spojrzawszy w światło żyrandola/ Nic dziwnego, po 50 świec każda, a możeby zgasić ?

IRENA

- Niech pan spróbuje. /zapala małą lampkę na biurku przed sobą/ kontakt na futrynie. /wskazała mu. Głodniewicz gasi żyrandol, scena ściemnia się nagle, tem silniej świeci ogród w miesięcznej poświacie i smuga światła wpadająca z oranżerji pod podpiętą portjerą/ Dziś pełnia. Lubię, kiedy księżyc wpada aż tutaj. Każdy sprzęt nabiera wtedy innego wyrazu - /wstaje i zatrzymuje się wsmudze światła przed oranżerją/ Staje się czemś nowem, tajemniczem i nieznanem, a moja sypialnia zamienia się wtedy w bajkę z opalu. Niech pan tu stanie przy mnie i popatrzy. Czyż to nie bajka?

GŁODNIEWICZ

Y/stanąwszy przy niej/ Istna grota rusałczana, błękitna grota.

IRENA

- Potrzebaż Capri, aby módz marzyć ? W każdej tęczującej szybie tysiące brylantów i gwiazd, wszędzie złote niże, miękkie i zwiewne... A tam, widzi pan tę palmę ? /mówiąc to, podnosi ręką jednostronnie podpiętą portjerę tak,że gdy ją puści,portjera opada i zasłania cały otwór arkady, pogrążając oboje w mroku/ O, tę tam, z palcowatymi liśćmi ? Kładąc się spać, mam ją za głowami i kiedy światło zgaszę, zdaje mi się, że mię jakieś dobre, przyjazne ręce na sen błogosławią.

Co wieczór posyłam jej całusa za to, że czuwa nademną, że nie czuję się tak samą, tak nieznośnie samą.

GŁODNIEWICZ

- Więc i pani nie obca męka samotności w taką rozpachniałą akacjami, żarem dyszącą noc ? Więc i pani zna tę pustkę dookoła i pulsujące skronie na rozpalonych poduszkach ?...

IRENA

/swobodnie/ Naturalnie, i jak jeszcze -

GŁODNIEWICZ

/stopniowo przechodząc w szept/ Ach, te wieki sekund odmierzane pluskiem krwi w tętnach, ta duszność, co jest nieomal fizycznem cierpieniem... A więc pani to zna ! odczuwa ? /nagle chwyta jej ręce, tak,że portjera opada/ Panno Ireno, panno Ireno, panno Ireno ! /okrywa jej dłonie pocałunkami/

IRENA

- Aj, moje palce ! - Jakiż pan silny.

GŁODNIEWICZ

/puścił jej palce i błyskawicznym ruchem ujął za ręce powyżej stawu garstkowego, poczem całuje ją najprzód w otwarte dłonie, potem kolejno i naprzemian bliżej łokci, ramion i szyji,- namiętnie i gorączkowo/ Panno Ireno,- panno Ireno - złota, cudna, słodka, ty raju - ty maju - ty wiosno!

IRENA

/oszołomiona pozwala zrazu na te pocałunki, gdy jednak usta jego poczuła nieledwo na swoich, wymyka mu się i ucieka na pokój/ Nie, nie, nie !

GŁODNIEWICZ

/przytomniejąc, ale nieomal bez tchu/ Ja... ja przepraszam,-... ja panią bardzo przepraszam.

IRENA

/świadoma swojej przeważnie winy/ Niech się pan uspokoi. /zaczyna chodzić - pauza/

GŁODNIEWICZ

- Jak pani musi mną w tej chwili pogardzać.

IRENA

/przystając/. Ja - panem ?

GŁODNIEWICZ

- Niech mnie pani wypoliczkuje.

IRENA

/lekko wzruszywszy ramionami, zaczyna znów chodzić po pokoju - pauza/

GŁODNIEWICZ

- Proszę,- niech mnie pani wypoliczkuje. /pauza/

IRENA

/nagle i żywo podchodząc i stając przed nim/ Gotów pan dać swą cześć ?

GŁODNIEWICZ

- Tylko to może dać pani satysfakcję, a mnie zrehabilitować w jej oczach.

IRENA

/z pewnem zamyśleniem/ Dla mojej opinji ? Dla tak bądźcobądź błahego celu, to co jest dla mężczyzny najdroższem ?

GŁODNIEWICZ

/pochyla głowę i rozkłada ręce/

IRENA

/ujmując jego dłoń/ Dziękuję panu.

GŁODNIEWICZ

/łagodnie, uwalniając swą dłoń/ Niech mnie pani nie upokarza,- więcej już nie można.

IRENA

/upartym,pewnym głosem/ Pan mnie źle zrozumiał. W tej chwili mam dla niego tylko wdzięczność.

GŁODNIEWICZ

- Dla mnie ? za co ?

IRENA

/znów z pewnem zamyśleniem/ Za naukę, że niema pół drogi i pół-środków. Albo - albo... /tracąc zamyślenie, zupełnie trzeźwo/ A teraz niech mi pan powie - o tem z przed chwili nie mówmy - czy ja podobam się panu, a raczej czym się panu kiedykolwiek podobała ? /wobec jego gestu/ Powtarzam : o tem z przed chwili zapomnijmy, tego wcale nie było.- Więc ? /po króciutkiej pauzie/ Przepraszam za niedyskrecję, a panu dziękuję za jego delikatność.

GŁODNIEWICZ

- Ależ pani, panno Ireno... doprawdy, że...

IRENA

- Owszem to właśnie było szczere, a temsamem uczciwe. Zatem nie podobam się panu, to dobrze, pan nawet nie wie, jak to dobrze.../zaczyna znów chodzić po pokoju/

GŁODNIEWICZ

/wodząc za nią oczyma - półgłosem/ Zawsze i wszędzie ten sam tajemniczy i nieodgadniony sfinks.

IRENA

/po sekundzie/ Czy mówił pan co do mnie ?

GŁODNIEWICZ

/wprost w oczy, ale dyskretnie/ Sfinks !

IRENA

- Raczej flet, którym Hamlet częstuje Rosenkrantza i prosi go, żeby zagrał. Jak pan sądzi, dlaczego Rosenkrantz na nim nie zagrał ?

GŁODNIEWICZ

- Bo nie umiał.

IRENA

- Bynajmniej. Dlatego poprostu, że nie odważył się wziąć go do ręki i dobyć melodji - może dzikiej, ale przecie melodji.

GŁODNIEWICZ

/z zapartym oddechem/ Panno Ireno.. pani igra słowami.

IRENA

- Opętała mię dziś taka dzika melodja. Lękam się jej a czasem chciwie się w nią wsłuchuję. Ona mi tu, w mózgu gra... oczy mam pełne latających iskier.

GŁODNIEWICZ

- Niech się pani na mnie oprze. /obejmuje ją ramieniem/ O,tak,- o tak, maleństwo ty moje. Boże, jak pani włosy pachną ! /całuje jej włosy/

IRENA

IRENA

/pomięszana - bezsilna/ Co pan robi,- panie, co pan robi ?...

GŁODNIEWICZ

- Kołyszę cię w takt dzikiej melodji. Ustami w usta wśpiewam ją w ciebie. /całuje ją/ Nie broń, nie broń,- daremnie ! Ty chcesz być moją, będziesz, musisz ! /przed oknem w ogrodzie miga cień Żmudy/ Nie wydam cię na pastwę samotności. Utońmy w bajce z opalu. /bezwładną unosi ją i niknie za kotarą/

S c e n a 9.

/Ledwo zniknęli, z ogrodu wbiega ŻMUDA. Twarz jego straszna, w prawej ściska rewolwer. Przed portjerą zawahał się: wejść czy nie wejść ? W tej krótkiej chwili przeżywa najcięższy moment swego życia. Mocując się ze sobą - po chwili - mierzy sobie w skroń. Przyszła mu jakaś myśl. Siada przy biurku, pisze nerwowo kilka słów. Zreflektował się. Mnie w ręku zapisaną kartkę i chowa do kieszeni. Wstaje,- z za kotary dobiega go dźwięk urywanych słów czy okrzyków. To jest nad jego siły. Jakby chciał nie słyszeć, nie wiedzieć - wybiega przez ogród.- Po chwili słychać strzał przytłumiony znaczną już odległością./

Koniec aktu I.-

A K T II.

Skromnie umeblowany pokój. W fotelu na biegunach owinięta szalem drzemie IRENA. Nieco postarzała, nietylko na twarzy, co w ogólnych linjach całej postaci. Również rysy twarzy nieco zgrubiały. Nie jest to już uosobienie wiosny. W odzieży mniej dbałości, ale nic jeszcze z zaniedbania.

S c e n a 1.

/Przez drzwi z kuchni wchodzi służąca MARYNIA, z flaszeczką dla niemowląt. Idąc na palcach razwraz ogląda się na śpiącą Irenę. Wchodzi do dziecinnego pokoju.- po chwili wraca, stuknęła drzwiami, Irena się budzi./

IRENA

/przerażona, że zaspała/ Która to ? /spokojniej, zmrużywszy znów oczy/ Płakał ?

MARYNIA

- Właśnie dostał flaszeczkę.

IRENA

/przekrzywiając głowę, sennie/ Dziękuję ci, moja droga. Spałam jak kłoda, choć w nocy się nie budził.

MARYNIA

/kołysząc lekko fotelem/ Od jakiegoś czasu daje paniencę spać.

IRENA

/z zadowoleniem, sennie/ Dzięki Bogu, że mi już tak nie dokucza. W początku ledwo się ruszył, musiałam

IRENA

/pomięszana - bezsilna/ Co pan robi,- panie, co pan robi ?...

GŁODNIEWICZ

- Kołyszę cię w takt dzikiej melodji. Ustami w usta wśpiewam ją w ciebie. /całuje ją/ Nie broń, nie broń,- daremnie ! Ty chcesz być moją, będziesz, musisz ! /przed oknem w ogrodzie miga cień Żmudy/ Nie wydam cię na pastwę samotności. Utońmy w bajce z opalu. /bezwłędne unosi ją i niknie za kotarą/

Scena 9.

/Ledwo zniknęli, z ogrodu wbiega ŻMUDA. Twarz jego straszna, w prawej ściska rewolwer. Przed portjerą zawahał się: wejść czy nie wejść ? W tej krótkiej chwili przeżywa najcięższy moment swego życia. Mocując się ze sobą - po chwili - mierzy sobie w skroń. Przyszła mu jakaś myśl. Siada przy biurku, pisze nerwowo kilka słów. Zreflektował się. Mnie w ręku zapisaną kartkę i chowa do kieszeni. Wstaje,- z za kotary dobiega go dźwięk urywanych słów czy okrzyków. To jest nad jego siły. Jakby chciał nic słyszeć, nie wiedzieć - wybiega przez ogród.- Po chwili słychać strzał przytłumiony znaczną już odległością./

Koniec aktu I.-

A K T II.

++++++++++++++++

Skromnie umeblowany pokój. W fotelu na biegunach osłonięta szalem drzemie IRENA. Nieco postarzała, nietyle na twarzy,co w ogólnych linjach całej postaci. Również rysy twarzy nieco zgrubiały. Nie jest to już uosobienie wiosny. W odzieży mniej dbałości, ale nic jeszcze z zaniedbania.

S c e n a 1.

/Przez drzwi z kuchni wchodzi służąca MARYNIA, z flaszeczką dla niemowląt. Idąc na palcach razwraz ogląda się na śpiącą Irenę. Wchodzi do dziecinnego pokoju.- po chwili wraca, stuknęła drzwiami, Irena się budzi./

IRENA

/przerażona,że zaspała/ Która to ? /spokojniej, zmrużywszy znów oczy/ Płakał ?

MARYNIA

- Właśnie dostał flaszeczkę.

IRENA

/przekładając głowę,senna/ Dziękuję ci, moja droga. Spałam jak kłoda, choć w nocy mię nie budził.

MARYNIA

/kołysząc lekko fotelem/ Od jakiegoś czasu daje panience spać.

IRENA

/z zamkniętymi oczyma/ Dzięki Bogu, że mi już tak nie dokucza. Z początku ledwo się ruszył, musiałam

do niego wstawać ale teraz... /ziewa/

MARYNIA

- Bo to z czasem ustaje.

IRENA

- Podobno. A u ciebie długo trwało ?

MARYNIA

- U mnie ? /przestała mimowiednie ją kołysać/

IRENA

- No, tak, u ciebie.- Cóż ty ? /otwiera oczy, ogląda się na nią, widząc ją smutną/ Ach, wyrwało mi się. No, bo tak opowiadasz, jakbyś conajmniej tuzin odchowała. /kładzie rękę na jej dłoni, wpół zwrócona ku niej/ Daruj mi, moja droga.

MARYNIA

- Ja wiem, że panienka nie chciała przecież...

IRENA

- Ty mi gorzej wypominasz ciągle tę „panienkę", a ja to znoszę i nie gniewam się za to.

MARYNIA

/przypadając do kolan/ Moja złota panienka -

IRENA

/gładząc ją po głowie/ W gruncie rzeczy jestem nią jak byłam przed rokiem, czy dwoma. Czyż ty inaczej czujesz ?

MARYNIA

- Czy ja wiem ? - Żeby się był ze mną ożenił, jak mi to gałgan obiecywał.../bliska płaczu/

IRENA

IRENA

- Znowu zaczynasz ? - daj-że pokój. No, już, no przestań. Zbłądziłaś - odpokutowałaś...

MARYNIA

/przez łzy/ Tak, ale żeby nie panienka, gdzie jabym dziś była ? Może znowu w kryminale. Bo któżby mię taką wziął na służbę ? /okrywa jej dłoń pocałunkami/

IRENA

/serdecznie/ Nie płeć, nie płeć, nie lubię tego. Rączej pomyśl, co jabym robiła bez ciebie. Mogłabym przejść to wszystko i tak z lekcji na lekcję gonić, gdybym była sama albo miała służącą ni z pierza ni z mięsa ? A tak - jestem prawie wolna i mogę pracować a przedewszystkiem zarabiać. /wstaje - energicznie, z poczuciem wewnętrznej siły/ Zarabiać na siebie i na dziecko ! Ach, żebyś ty wiedziała, jaką to moc daje człowiekowi, kiedy czuje, że stoi o własnych siłach i może się na nic i na nikogo nie oglądać. /zaczyna chodzić po pokoju - MARYNIA wstała z klęczek i wodzi za nią oczyma/ Coprawda <u>tego</u> właśnie świat nie lubi. Błąd przebaczy, ale tego - nie. Własna droga ci pachnie ? - owszem, my ci ją nawet wybrukujemy. Brukują też, brukują...

MARYNIA

- Kamieniem rzucać byle kto potrafi.

IRENA

- Masz rację,- byle kto. Nawet „przyjaciółki".- Ich nie mój wstyd. Owszem, niech rzucają, prędzej mi z nich urośnie piedestał.- Sama i wysoko ! - tego właśnie chciałam zawsze. W tem mój tryumf i radość,- słyszysz ? radość.

MARYNIA

- Tak to lubię. Wszystko będzie dobrze skoro panienka wesoła.

IRENA

/przystając i patrząc jej w oczy/ Phi ! a widziałaś mię kiedy inną ?

MARYNIA

/z wahaniem/ Nie...

IRENA

/spuszczając oczy/ Masz jednak rację. Tak, to jedno,- widzisz,- to jedno. O tem nie mogę myśleć spokojnie. Ten dzień czy ta godzina, w której mi przyjdzie popatrzeć jej w oczy !... Moja Muchna, moja kochana Muchna.

/Pauza/

MARYNIA

- Mnie się wszystko widzi, że się starsza pani rozmyśliła.

IRENA

/raczej do siebie niż do Maryni/ Być może. Ale jeśli nie ? jeśli ze swego tam piekła zjedzie tu, aby przy jedynaczce /z ironją/ „odetchnąć czystą atmosferą"...? Jacyśmy biedni Maryniu, jacyśmy wszyscy biedni...

MARYNIA

- Choćby przyjechała to jakoś to będzie..

IRENA

- Nie wiesz co ?

MARYNIA

- Cośby się przecie musiało zrobić. Poco się to trapić

przed czasem.- Ale panienko, panienka miała gdzieś iść...

IRENA

- Prawda. /spojrzała na zegar nad kanapą/ A tak się boję tej konferencji.- Daj mi płaszczyk. /idzie przed lustro, wkłada kapelusz/

MARYNIA

/wyszła do przedpokoju, wraca z żakietem i podaje go jej/ Kawę zrobić ?

IRENA

- Jak zwykle.

MARYNIA

/filuternie/ Osobno zostawię trochę na czarną.

IRENA

/z miłym, przyjaznym uśmiechem/ Myślisz ? - Dobrze, zostaw, ale wątpię... /uśmiech jej zgasł/ Gdyby jednakże...

MARYNIA

- To powiem, że panienka niedługo wróci.

IRENA

/znów z miłym uśmiechem, palcem trąciwszy ją po nosie/ Nosek masz długi. /zrobiła jej "lewka" z twarzy/ ej, ty spryciarzu, ty spryciarzu, ty ! /puszcza jej twarz/ Dobrze, powiedz. Jeśli może, niech zaczeka. Tylko...

MARYNIA

- Ach -

IRENA

IRENA

- Język za zębami. Jeśli sam zechce to dobrze,- postaram się niedługo bawić. A małemu... /zmierzała w stronę dziecinnego pokoju,- spojrzawszy na zegar nad kanapą/ nie, już późno. Zresztą ty to sto razy lepiej odemnie potrafisz. /zawraca ku przedpokojowi/ Przewiń go, jeśli trzeba, moja droga i nie odchodź nigdzie.

MARYNIA

- Będę okna myć.

IRENA

/w przedpokoju do znikającej w drzwiach kuchni Maryni/ Tylko nie zrzuć komu miednicy na głowę i sama nie wypadnij. /znika w lewo/

S c e n a 2.

MARYNIA

/wraca z kuchni z miednicą i ściereczką, stawia miednicę na krześle wziętem od biurka i zaczyna myć okno dalsze od widzów. Wtem odzywa się katarynka. Marynia wychyla się przez okno. Popatrzyła na dół na podwórze, potem powiodła wzrokiem po oknach kamienicy, zaśmiała się do kogoś z naprzeciwka i pogroziła mu. W przedpokoju odzywa się dzwonek, ale Marynia go nie słyszy, nucąc wraz z katarynką tę samą melodję. Gdy manipulując oknem zewnętrznem,przymknęła je i dźwięki katarynki przycichły nieco, dzwonek się znów odzywa. Marynia tym razem go usłyszała, wybiega otworzyć./

Głos MARYNI

- Całuję rączki.

Głos ŻMUDY

- Dzień dobry. /wiesza kapelusz na szaragach w przedpokoju, wchodzi. Przybyło mu siwizny. Zeszczuplał, stał się oszczędny i ostrożny w ruchach. Na zdeformowanej nieco prawej skroni blizna po szwie chirurgicznym. Na wszystkiem, co mówi i robi, znać tłumik i przyćmienie/ Zastaję panią ?

MARYNIA

- Niema minuty jak wyszła.

ŻMUDA

- Musieliśmy się minąć. Mniejsza z tem, Marynia jej to odda. /z dolnej bocznej kieszeni marynarki dobywa zwitki skryptu i korrekty i kładzie na stole Ireny między oknami w lewo/

MARYNIA

- Oj-ej tyle ! Dopieroż się panienka ucieszy. Ale oczy odcierpią za swoje.

ŻMUDA

- Bolą ją ? A zrobiła Marynia to, o co prosiłem.

MARYNIA

/przytaknęła głową, wskazując na kanapę/ Tu sypiam. Tylko skwierknie - już lecę. Panienka o niczem nie wie i w głowę zachodzi, co się to stało, że jej nie budzi po nocach. Przez cały ten miesiąc raz tylko wstawała do niego. Z mojej winy. Zaspałam. /chce go w rękę pocałować/

ŻMUDA

/wzbroniwszy/ Każdemu się zdarzy,- ot i ja zapomniałem... /dobywa z kieszonki kamizelki kilka banknotów/

Za ubiegły miesiąc i dwa następne z góry, bo może wyjadę na jakiś czas. /widząc,że się wzdraga przyjąć/ No, no, bez skrupułów,- i tak tanio sprzedaje Marynia swój sen.- A teraz proszę uważać. /wertuje w zwitkach korrekty na stole,podczas tego Marynia odwróciwszy się nieco, chowa banknoty za gors/ Tu skrypt i dwa arkusze składu,- to do siebie należy, /odkłada/ a tu skryptu na trzy arkusze, ale składu ledwo połowa, resztę doniosą, bo im się rozsypało na maszynie. Otóż proszę pani powiedzieć...

MARYNIA

- Ja tego nie spamiętam. Najlepiej, żeby...Panienka wnet wróci.

ŻMUDA

- Mam czekać ?

MARYNIA

/pospiesznie/ Tego panienka nię mówiła, ale myślę, że... Ja tak myślę.

ŻMUDA

/patrząc na zegarek,by uniknąć jej spojrzenia/ Dobrze. /idzie i siada przy stole w lewo/ Zacznę sam, zawszeć coś ubędzie. A Marynia niech wraca do swojej roboty, mnie to nic nie przeszkadza. /zaczyna robić korrektę a Marynia okno myć. Pauza./

MARYNIA

- A może zrobić czarnej kawy ? /pauza/

ŻMUDA

/pozornie obojętnie, rzekomo zagłębiony w korekcie/ Co to Marynia mówiła ? że panią oczy bolą ?

MARYNIA

- Narzeka.

ŻMUDA

/do siebie/ Szlocha po kątach.../wstaje,podchodzi do niej/ Nie wiesz czego ?

MARYNIA

- Wszystkiego i niczego. /przeciera szyby/

ŻMUDA

/zachodząc tak,że przez szyby patrzy jej w oczy/ Lekcję straciła, co ? A może... /uchylając ramę okna, za którą oczy schowała/ Popatrz mi w oczy. Może ją kto obraził, mów.

MARYNIA

- Zmartwienie jakieś ma.

ŻMUDA

- Jakie ?

MARYNIA

- Czy ja wiem.

ŻMUDA

- Wiesz, tylko zakazano Maryni mówić o tem ze mną. Nie bój się, nie padnę trupem /dotknął swej blizny przelotnie/ Niema obawy, siedzę sobie jak w wacie. Zatem ?

MARYNIA

- Pan profesor toby i z nieboszczyka wydobył tajemnicę.

ŻMUDA

- I to mi się zdarzało. Zatem ?

MARYNIA

- Starsza pani...

ŻMUDA

- Przyjeżdża.

MARYNIA

- Jezus Marja ! - przyjeżdża ?

ŻMUDA

- Pytam właśnie.

MARYNIA

- A powiedział pan to tak jakby... Panienka niczego, tylko tego jednego się boi.

ŻMUDA

- Tego się boi.../zaczyna chodzić./
/Pauza/

MARYNIA

- Starsza pani miała już w zimie przyjechać,ale coś ją zaszło. Potem napisała, że na Wielkanoc i znowu odłożyła ku latu. Chce panience zrobić niespodziankę - nie wie, że największa tu ją czeka. /pauza/ Teraz lato, od kilku tygodni ani listu ani kartki,- więc panienka ciągle jak mysz na pudle, gryzie się, nie dośpi, nie doje... Oj, wiem ja jakie to wtedy człowiekowi myśli do głowy przychodzą. /pauza/

/Żmuda zupełnie zatopiony w swych myślach chodził nie słuchając paplania Maryni,- gdy umilkła usiadł przy stole nad korektą/

MARYNIA

/otrząsnąwszy się z zadumy/ Jak umiem tłómaczę pa-

nience ale cóż ja głupia mogę ? Panienka mnie słucha - i popłakuje. Patrzeć już na to nie sposób. /zamyka wewnętrzne kwatery okna/ Ale niech się pan profesor nie boi,- jakby przyszło co do czego, to się coś zrobi.- Żebym była dawniej wiedziała, to i moje do dziś dnia chowałoby się żywe.- Na wsi byłoby małemu zdrowiej. A ta Burakowa ponoś poczciwa kobieta, dziewczęta ją chwalą... /spojrzała na Żmudę,- wynosi miednicę i ścierki do przedpokoju, postawiwszy pod drzwiami kuchni, wraca, podchodzi do Żmudy/ Jak pan profesor myśli ? Żeby jej to kto mądry wytłomaczył...

ŻMUDA

- Co takiego ?

MARYNIA

- Przecie jakby starsza pani niedługo tu zabawiła, to możnaby Stasia na ten czas...

/słychać dzwonek w przedpokoju/

ŻMUDA

- Pani wraca. /wstaje/

MARYNIA

- Panienka ma klucz a jak go kiedy zapomni, to dzwoni trzy razy. Pójdę popatrzeć przez judasza.

ŻMUDA

/żachnąwszy się/ Zawsze ta więzienna gwara ! Prosiłem Marynię tyle razy... /widząc jak boleśnie ją dotknął,- miękko/ Czyż to tak trudno upilnować języka ?- No, no, nie rób sobie z tego nic. /słychać znów dzwonek/ Idź, popatrz. /odczekuje w pobliżu pieca/

MARYNIA

/wyszła i wraca na palcach,- szeptem/ Jakiś pan. Mnie się zdaje, że on tu już parę razy był, ale go panienka nie przyjęła.

ŻMUDA

/szeptem/ To nie otwieraj.

MARYNIA

/j.w./ A jak nie on ? Może co ważnego.

ŻMUDA

/j.w./ Czy ja wiem... Zażądaj biletu.

MARYNIA

/znika w przedpokoju w prawo,- słychać odmykanie drzwi i kilka słów rozmowy - wraca, oddaje bilet/

ŻMUDA

/przeczytał, zbladł, ręka mu drży/ Pani... na długo wyszła ?

MARYNIA

/z giestem: „alboż ja wiem"/ Ma konferencję w liceum.

ŻMUDA

/po sekundzie namysłu/ Proś. /cofa się i oparty o piec czeka. Na czole jego widna wielka praca myśli.-

/Przybyły wpuszczony przez Marynię wszedł, niesioną na ręku zarżutkę powiesił na szaragach, obrzucił spojrzeniem swój nienagannie skrojony tużurek, dopiął rękawiczki i z kapeluszem w ręku wchodzi.- Jestto Głodniewicz z pierwszego aktu tylko nieco „podtatusiały" z pierwszymi śladami łysiny.

Znalazłszy się na środku pokoju i nie widząc w nim nikogo ogląda się. Spostrzegłszy Żmudę nie może ukryć oznak lekkiego zdziwienia.- Marynia tymczasem zabrawszy miednicę etc. wychodzi do kuchni/

Scena 3.

ŻMUDA

/panując nad sobą, tonem nieledwo swobodnym/ Witam pana.

GŁODNIEWICZ

/podchodząc, całkiem swobodnie/ O, kopę lat profesorze. /wyciąga rękę/

ŻMUDA

/kryjąc ręce za siebie/ Całe rano miałem dziś do czynienia z karbunkułem.

GŁODNIEWICZ

/pospiesznie cofając dłoń/ Do licha ! - ostrożności nigdy nie zawiele, rozumiem to doskonale. Ja taksamo pilnuję się po każdej sekcji.- Co się z profesorem dzieje ? Ktoś mi mówił, że pan w Instytucie Pasteura...

ŻMUDA

/wskazując mu sofę/ Tak, jeździłem.

GŁODNIEWICZ

- Dziękuję. /siada/ Co za niespodziewane i miłe spotkanie. Więc pan zdążył już być w Paryżu i wrócić. Katedry nie gratuluję, pan był zawsze primo et unico loco. Jakież tam nowe serum w robocie i kiedy oddaje pan terapii ?

ŻMUDA

- Na razie próbuję na królikach i kozach.

GŁODNIEWICZ

- Jakże ten czas leci,- piekielnie ! Dawnoż to siadał człowiek do ostatniego rygorozum a dziś od roku już na posadzie.

ŻMUDA

/przysunął sobie taburet, siadł/ Tak ?- powinszować.

GŁODNIEWICZ

- Dziura bo dziura, ale praktyczka niezła, dalibóg niezła, zwłaszcza w okolicy. Z oględzinami zwłok i bydła mam tyle, że mogę żyć a nawet pomyśleć o dopełnieniu pewnych... nazwijmy to: obowiązków.

ŻMUDA

- To szlachetnie. /spojrzał na niego bystro, widać jak intensywnie pracuje myślami/

/Pauza/

GŁODNIEWICZ

/który unikając tego spojrzenia i w oczekiwaniu gospodyni rzucił okiem po pokoju/ A cóż u profesora słychać ? /pauza/ Kopę lat... Wie pan ? napróżno silę się w tej chwili przypomnieć sobie, kiedy miałem zaszczyt ostatni raz...

ŻMUDA

/z czającą się w głosie lecz hamowaną ironją/ Ja go miałem tu przed dwoma laty na studenckiem zebraniu u panny Ireny. Dziś jak obszył dwa lata temu.

GŁODNIEWICZ

- Jakto ? dziś ? - no, wie pan, co za fenomenalna pamięć.

ŻMUDA

- Dzień ten nie zastrzęgł w panu nawet przelotnem wspomnieniem ? /zmierzył go wzrokiem,- nie czekając odpowiedzi/ Co do mnie - bez przenośni, dosłownie i matrejalnie - utkwił mi w mózgu.

GŁODNIEWICZ

- Jakto ?

ŻMUDA

/badawczo, chcąc się przekonać, czy ma poczucie, że był tego przyczyną/ Zapewne słyszał pan...

GŁODNIEWICZ

/zupełnie swobodnie/ Ach, tak, prawda,- tak,tak, ten fatalny przypadek -

ŻMUDA

/z tonu upewniwszy się, że partner nie domyśla się ani swojej winy, ani nie przeczuwa, iż mówi z człowiekiem, znającym tajemnicę jego i Ireny,- zaczyna mówić swobodniej, wreszcie z „galgen humorem" którym maskuje chęć zemsty i pogardę/ Dziś nie nazwałbym go fatalnym, przeciwnie,- ale wówczas gdy mnie odratowano, chciałem się spalić ze wstydu, że nie umiem się z bronią obchodzić i zamiast jednemu z rzezimieszków, sam sobie wpakowałem kulę w łeb.

GŁODNIEWICZ

- Zawadził pan o ubranie ?

/ W przedpokoju z prawej wchodzi Irena,- słysząc czyjąś rozmowę przystaje i przysłuchuje się chwilę - obejrzała zarzutkę Głodniewicza,- potem kryjąc się za prawą futrynę drzwi podgląda rozmawiających. Dostrzegłszy Głodniewicza cofa się w głąb i pod szaragami tylnej ściany wymyka przez drzwi do kuchni/

ŻMUDA

- Nie pamiętam, a napastnicy dali nura i dotąd ich nie wykryto. Już to ta nasza policja, pożal się Boże !... /zwracając się do niego skronią i półruchem wskazując na nią/ Ostatecznie - jak pan widzi - nic mi się nie stało, przybył mi tylko marsowy wdzięk na skroni.

...

GŁODNIEWICZ

/oglądając z zaciekawieniem fachowca/ Zgrabnie to panu zaszyto.

ŻMUDA

- Bardzo,- a kulkę noszę sobie w mózgu na pamiątkę -

GŁODNIEWICZ

/wstrącając/ ...została ...?

ŻMUDA

/przytwierdziwszy głową/ i odtąd chodzę jak szklany niczem sylfy w balecie lub drugi Błondin na swej lince.

GŁODNIEWICZ

/z współczuciem/ Gdybyż mniej pajęcza -

ŻMUDA

- W tem jej... urok. Ten drab, przez którego strze-

.liłem sobie w łeb ani domyśla się... Pan się nawet nie domyśla, ile mu zawdzięczam.

/Z kuchni przez przedpokój wchodzi żywo Marynia - Głodniewiczowi zdawało się, że to pani domu - nieco uniósł się, lecz zaraz usiadł. Wzięła ze stołu kartkę papieru i ołówek i wraca skąd przyszła. Żmudę zastanowiło to nieco, powiódł za nią i odprowadził wzrokiem, lecz nie przerwał toku słów/

GŁODNIEWICZ

- Jakto ?

ŻMUDA

/przelotnie dotknąwszy skroni/ No, bo czemże jest przy takiej kuli, mogącej się każdej chwili obsunąć - /wobec giestu Głodniewicza/ o tak, i jak jeszcze - czemże jest memento mori kartuzów wobec tej świadomości, że jedno poślizgnięcie się, jedna gwałtowniejsza emocja a człowiek...

GŁODNIEWICZ

- Tak, to potworne -

ŻMUDA

- Gdzież tam,- trzeba się w to tylko umieć wżyć. Przy Każdym kęsku, każdym hauście taka przelotna ćwierćmyśl: „a może to już ostatni" ? - ba, panie, jak wtedy każda rzecz smakuje.

GŁODNIEWICZ

- Bajeczna przyprawa ale... monotonna.

ŻMUDA

/pasąc się jego przerażeniem/ To ma tysiące odmian i

niuansów. Choćby ot taki przypadek z przed paru dni. Mikroskopując zapomniałem - uważa pan - otworzyć blendę i nagle zamiast preparatu widzę siebie wędrującego aleą róż w ogrodzie zakładu dla ociemniałych, słyszę kroki siostry w białym kornecie drepcącej przy mnie i wyczuwam na sobie jej dobre, żałujące mię spojrzenie. Innym razem inna znów assocjacja, rozmaitość ogromna. Ale wszystko blednie wobec tego, co się w tych warunkach przeżywa z kobietą -

GŁODNIEWICZ

/żywo, zaciekawiony taką sytuacją/ Tak, to musi być interesujące. Wyobrażam sobie - prawda ? - te dzikie oczy wpijające się narówni z ustami, ten paniczny lęk zmieszany z dreszczem rozkoszy.

ŻMUDA

/z ironją/ Ho-ho,- rozczytywał się pan - widzę - w dziełach markiza de Sade.

GŁODNIEWICZ

-- Bo co ?

ŻMUDA

/z mściwą pogardą/ Że pan tak w lot, tak żywo odczuł tę sytuację.

MARYNIA

/wchodzi z przedpokoju/

GŁODNIEWICZ

/widząc, że się zagalopował/ Ach, profesorze,- hony soit qui mal y pense !

MARYNIA

MARYNIA

/do Żmudy/ Panienka prosi.

ŻMUDA

/zdziwiony/ Panienka ? mnie ? /wstał, do Głodniewicza, który się również podniósł/ Daruje pan... /wychodzi przedpokojem do kuchni/

MARYNIA

/odczekawszy aż Żmuda zniknął, wręcza Głodniewiczowi kartkę, którą kryła w dłoni za sobą,- oddawszy ją idzie do przedpokoju, z zarzutką Głodniewicza na ręku czeka na niego/

GŁODNIEWICZ

/odbierając kartkę, niemile zdziwiony/ Dla mnie ? - Hm... /spojrzał na pismo, marszczy brwi,- raz jeszcze przebiegając kartkę oczyma mimowoli odczytuje ją półgłosem/ „Chciej pan raz wreszcie zrozumieć, że drzwi moje zamknięte są dla pana raz na zawsze.- Irena Wiązecka"... Raz na zawsze /z wściekłością lecz spokojnie mnie kartkę w ręku/ Diana !... Duchowi memu dała w pysk i poszła... Dzieweczka... /śmieje się złym, cynicznym śmiechem/ Ależ owszem, tem lepiej,- czy to jeden kamień na brzegu morskim ? Nie to nie, jam swoje zrobił.. /wychodzi do przedpokoju, odebrawszy zarzutkę od Maryni niknie w prawo.- Ledwo Marynia drzwi za nim zamknęła, wchodzą z kuchni IRENA i ŻMUDA. Marynia czmychnęła do kuchni/

Scena 4.

ŻMUDA

/jeszcze w przedpokoju, idąc za Ireną/ Raz jeszcze

przepraszam panią za tę niewłaściwość. Obcując ciągle z młodzieżą nasiąka się mimowoli studencką bohemią. A ponieważ - o ile pamiętam - obdarzała pani sympatją jego siostrę a bodaj że i...

IRENA

- Ach, nie mówmy już o tem. I pan ten i całe to zajście niewiele mnie obchodzą. Z mojej strony był to również nietakt. Nerwy. Powoli dowiaduję się o nich.

ŻMUDA

- Absolutnie powinna pani wyjechać.

IRENA

/sondując go/ Zostawiając plac językom ? Nie zrobiłam tego dotąd, nie zrobię i teraz.

ŻMUDA

- Ja nie to miałem na myśli. Wyjechać poprostu dla odpoczynku.

IRENA

- Nie mam ani gdzie ani do kogo.

ŻMUDA

- Ach, na pierwszą lepszą wieś. Miałbym taką ustroń z autentyczną krową i mlekiem...

IRENA

- Zaczyna pan tak ponętnie, że gotowam się nie oprzeć. /wskazała mu miejsce na sofie, sama siadła na taburecie składając ręce na bocznem oparciu sofy/ Sama myśl czegoś naprawdę autentycznego... Widzi pan jak składam ręce.

ŻMUDA

- Mam pewien projekt.

IRENA

- Cudownie !- Projektować: to: patrzeć w przyszłość, tworzyć jutro więc potrosze i wierzyć w nie.

ŻMUDA

/nie reagując/ W Sosnówce, mojej rodzinnej wsi, mam siostrę wydaną za leśnika. Prości ale bardzo poczciwi ludzie, i on i ona.

IRENA

- Leśniczówka !

ŻMUDA

- Nie nazywajmy tego tak szumnie,- ot zwykła chałupa na rębanisku. Dokoła pełno tarniaku, wrzosów i poziomek a wszystko nakryte słońcem i ciszą.

IRENA

- Ależ to raj.

ŻMUDA

- Tak,- tylko towarzystwo...

IRENA

- Serdeczne i zacne.- Wie pan ?- aż mi zapachniało smółką leśną i jagodami. Ach, wyrwać się na chwilę z tej ciżby świętoszków, pooddychać rzeźwem powietrzem, pełną piersią nabrać ciszy i poczciwości ludzkiej ! Nigdy mi pan o tej siostrze nie wspominał i o Sosnówce ani słówkiem. Ładnie-ż to ? A pan zagląda tam kiedy ?

ŻMUDA

/czując do czego zmierza/ Mają tylko dwie izby i gdyby

pani jedną odstąpili...

IRENA

- Naturalnie,- o tem mowy być nie może -

ŻMUDA

- Chce pani ?- napiszę do nich. Warunki nie byłyby wygórowane, /pospiesznie/ tak sądzę przynajmniej. Cóż oni mogą zażądać za izbę i trochę strawy dla trojga osób a właściwie...

IRENA

/spoważniawszy nagle/ Ach, widzi pan,- nie takie to proste. Jest tam gdzie lekarz pod ręką ? Nie chodzi o mnie ale... /spuszcza oczy/

ŻMUDA

- W danym razie i lekarz-by się znalazł. /pauza/

/W przedpokoju ukazała się Marynia zmierzając w prawo/

IRENA

/zasłyszawszy ją, rada że jest czem wypełnić przykrą ciszę wstaje i podchodzi nieco ku przedpokojowi/ Co tam Maryniu ?

MARYNIA

- Stróż mię po coś woła.

IRENA

- Nie masz to swoich schodów.

MARYNIA

- Kazał mi frontowymi zejść na bramę.

IRENA

- Także !- /za znikającą w prawo, nieco głośniej/

A wracaj bo czas nakrywać do podwieczorku. /do Żmudy/ Dotrzyma mi pan towarzystwa ? /Żmuda wstaje z sofy/ Niech mi pan nie odmawia i chwilę poświęci.

ŻMUDA

- Najchętniej, tembardziej, że winienem pani objaśnić korrekty -

IRENA

- Prawda, nie podziękowałam panu jeszcze. Widzi pan, jak mnie pan już zepsuł. Biorę to jak coś należnego mi, jakby się to samo przez się rozumiało. Dziękuję panu. /ściska mu dłoń/

ŻMUDA

- Za co ?- Pani mię tylko wybawia od nieznośnej roboty, którą przez chciwość,- typową chłopską chciwość - wziąłem a potem bez ceremonji zwaliłem na panią. /podszedł do stołu, siada na krześle, wertuje w skryptach, Irena podeszła również - staje zrazu tyłem do przedpokoju/

IRENA

- Szczególna, że pan tylko, jeden jedyny pan wszystko dobre na mnie zwala. Podobno pięć arkuszy. Nawet pan nie przypuszcza jak mi to w porę przychodzi.

/W przedpokoju zjawia się Marynia z walizką w ręku/

ŻMUDA

- Cieszę się jeśli tak jest istotnie.- Otóż proszę, niech pani pozwoli -

IRENA

/zmienia pozycję - stając prawie że za Żmudą spostrzega Marynię,- jeszcze swobodnie/ A ty co wleczesz ? czyje to Maryniu ?

MARYNIA

- Mamy gościa.

IRENA

/idąc ku niej krokiem/ Gościa ? kto taki ?

MARYNIA

/nie umiejąc złej wiadomości lepiej owinąć w bawełnę/ Jakaś... starsza pani...

IRENA

/niespokojnie/ Co za pani ?... /idzie nieco ku niej/

ŻMUDA

/domyślił się, wstał, staje za Ireną/

MARYNIA

/po krótkiej pauzie/ Starsza pani,- mama panienki.

IRENA

/z nagłym wypadem ku niej/ Oszalałaś ?!

MARYNIA

- Starsza pani przyjechała.

IRENA

/zapominając o obecności Żmudy, dłońmi chwytając się za głowę/ Jezus Marja, tak nie uprzedziwszy... Jezus Marja, co ja teraz...? /spostrzegając Żmudę, który stanął obok niej - opanowuje się i śmieje nienaturalnie/ Ha-ha-ha, patrz pan, co się z mojemi nerwami zrobiło. /mimowiednie przyjęła podane jej ramię/ Muchna, moja Muchna przyjechała... /do Maryni/ Idzie już

MARYNIA

- Nie może się z fiakrem rozpłacić i prosi, żeby

panienka...

IRENA

/puściwszy ramię Żmudy/ Zbiegnij i powiedz... albo nie... owszem powiedz, że mnie nie ma, żem wyjechała... Boże, co ja plotę -

ŻMUDA

- Jeśli mi pani pozwoli siebie wyręczyć...

IRENA

- Tak, tak, jaki pan zacny. /hamując łzy i skurcz gardła/ Dziękuję panu /ściska mu dłoń - do Maryni/ Idź i powiedz, że pan tam...

MARYNIA

/znika w prawo/

ŻMUDA

/biorąc ją znów pod rękę/ Pani Ireno, niech pani ochłonie, tak nie można. Trzeba nad sobą panować, koniecznie. /prowadząc ję ku sofie/ Niech pani przysiądzie, bodaj na sekundę.

IRENA

- Formalnie nogi mi odjęło.

MARYNIA

/niedostrzeżona przez nich przebiega przedpokój i znika w kuchni/

ŻMUDA

/sadzając ją na sofie/ Jestto zupełnie zrozumiałe przy pani wyczerpaniu i bądźcobądź silniejszem wzruszeniu.

IRENA

/z nienaturalnym pośpiechem/ Niech pan doda: radosnem.- Takie ścinały mię zawsze z nóg. Ale to przejdzie, tak, chwilkę spokoju. Byle myśli zebrać. Tak, to przejdzie... Już mi raźniej, dziękuję panu. A teraz niech mnie pan zostawi a sam jeśli łaska zejdzie i powie mamie...

ŻMUDA

- Naturalnie. Powiem, że pani... Już ja tam coś wymyślę. /wychodzi/

/Zaledwo wyszedł i zniknął w przedpokoju w prawo Irena zrywa się, dopada dalszego okna, szarpnięciem otwiera je tak gwałtownie, że szyba wypada z brzękiem i tłucze się na podłodze w kawałki. W chwili gdy Irena stojąc już na krześle pozostawionem przez Marynię podczas mycia wstępuje już na parapet okna z przedpokoju wpada Żmuda i z tyłu chwyta ją wpół.- Tuż po nim Marynia wracając z kuchni i biegnąc ku drzwiom na klatkę schodową usłyszała zgrzyt szkła,- staje w głębi i - z przerażeniem - jest świadkiem następującej, błyskawicznej sceny/

IRENA

/już w uścisku Żmudy, siląc się obejrzeć za siebie/ Kto tam ? - /wściekle i głośno/ Proszę mnie puścić, co to jest !- proszę mnie puścić, puść mnie ! - zacznę kąsać, puść !!

/Żmuda uniósł ją tymczasem na ręku i stawia na podłodze,- Irena zatacza się i opiera o konsolę lustra.- Marynia z półgłośnem „Jezus" ! - widząc, że

Irena już uratowana wybiega szybko przedpokojem w prawo/

ŻMUDA

/rzuciwszy okiem po oknach kamienicy zamyka okno i staje przy niem na straży/

IRENA

/ciężko oddycha - z opadającą wstecz głową, z szeroko otwartemi ustami - szpetna w tej chwili lecz prawdziwa - otwiera oczy spostrzega Żmudę/ Jakiem prawem... Pytam pana: jakiem prawem ?

ŻMUDA

/z żelazną mocą/ Prawem silniejszego.

IRENA

/chwilę patrzy mu w oczy,- potem z bólem i nienawiścią a nawet krwawą pogardą/ Znałam pana szlachetnym a jesteś tylko... mściwym !

ŻMUDA

/dotknięty do głębi/ Ja ?... /miękko, z wielkiem współczuciem/ Życie.

IRENA

- Nienawidzę je !

ŻMUDA

- Wolno ci nienawidzić własne ale to tam... /to mówiąc ukazał ku drzwiom dziecinnego pokoju/

IRENA

- Nienawi... /przelękła się sama tego okrzyku z pod serca/

ŻMUDA

/przeraził się nim również,- spojrzał na nią,- zamyślił się sekundę,- w milczeniu otwiera okno - odstępuje nieco od niego i odwraca głowę na bok, by nie widzieć/

IRENA

/spojrzała ku oknu, nawet momentalnie ohamowanym skokiem zbliżyła się do parapetu,- spokój Żmudy oprzytomnia ją,- oceniła właściwie jego czyn,- zrozumiała, jak ciężko go skrzywdziła. Ze łzą w oku, z błagalnem spojrzeniem i takiemże giestem rąk zbliża się doń nieśmiało/ Panie Henryku,- panie Henryku...

ŻMUDA

/przebaczył jej,- podaje jej ramię,- zwykłym, przyjaznym, oddanym głosem/ Pójdźmy pani, tam czekają na nas.

/Wychodzą przedpokojem w prawo, skąd właśnie ukazuje się Marynia z walizką. Marynia przeprowadza Irenę współczującem spojrzeniem. Ledwo zniknęli spoziera za nimi - przez otworzone znać drzwi - na klatkę schodową /wspinając się lekko na palce/,- po chwili zamyślenia wchodzi do głównego pokoju,- coś nagle postanowiła,- sięga za gors, obliczyła pobieżnie banknoty,- wystarczą jej one do jej celu. Z giestem „niech będzie co chce" chowa banknoty za stanik, wybiega do pokoju dziecinnego. Po chwili wraca tuląc do piersi pieluszki i wybiega z niemi szybko do kuchni.- Po sekundzie wraca, wbiega znów do dziecinnego pokoju, po chwili ukazuje się na

progu z kołderką, flaszeczką itp. lustruje oczyma, czy nie zostawiła czego w pokoju - poczem wybiega do kuchni/

/przez chwilę scena pusta/

Scena 6.

/Prowadzona przez Irenę wchodzi P.Wiązecka w letnim płaszczu podróżnym. Około pięćdziesiątki, miłej powierzchowności, dystyngowana przez wielką naturalność obejścia.- W chwilę po nich wchodzi Żmuda z pledzikiem Wiązeckiej na ręku. Cały czas trzyma się dyskretnie na uboczu/

WIĄZECKA

- Uf ! te schody... No, niechże cię porządnie uściskam mój ty, mój ty... filozofie. /całuje ją w głowę, w twarz - przygląda się jej bacznie od stóp do głów/ Przybyło cię na twarzy, ale wolałabym ją widzieć rumieńszą. /weszły do pokoju/

IRENA

/by uniknąć zbyt badawczych spojrzeń ściąga z niej z tyłu płaszcz za rękawy/ Zdaje ci się Muchno -

WIĄZECKA

/jeszcze się jej przyglądając/ Nie, nie moje kochanie, nie jesteś różowa,- bynajmniej.

IRENA

- To robi ten refleks od oficyny. /wskazała ku oknu - sama odchodzi z płaszczem ku przedpokojowi,- wpół drogi odbiera go jej Żmuda i wiesza na szaragach/

WIĄZECKA

/idąc ku bliższemu oknu/ Jakto ? to nie od frontu ?

/spojrzała na podwórze/ Oj-ej, cóż za kamieniczysko a wysoko brrr ! /cofa się od okna/ Pisałaś mi zawsze, że masz taki śliczny pokój z werandą w ogrodzie.

IRENA

- Miałam i to dzięki tobie,Muchno. Ale w końcu żal mi się zrobiło twoich szurpatek i pantarek -

WIĄZECKA

/nawiasowo/ ... Nie mam już ani jednej -

IRENA

/nawiasowo/ Tak ? - Raz przecie trzeba było zacząć żyć własnem życiem, zdobyć się na samodzielność.

WIĄZECKA

/z myślą o sobie/ Niełatwo to, oj niełatwo... no, nie w twoim wieku. Ale o tem potem. /krótka pauza/

ŻMUDA

/zauważywszy, że jest zbytecznym/ Panie darują...

IRENA

/do mijającego ją, ze śladem wyrzutu w głosie/ Odchodzi pan ?

ŻMUDA

- Mama pani znużona z drogi.

IRENA

/wziąwszy neseser Wiązeckiej stamtąd, gdzie go przed zdjęciem płaszcza z Wiązeckiej położyła - uwalnia go z pokrowców na sobie i strzyże uchem w stronę dziecinnego pokoju/

WIĄZECKA

- Bynajmniej, jechałam bardzo wygodnie. /podaje mu

dłoń/ Wiem z jej listów, że zaszczyca ją pan swoją przyjaźnią. /gest Żmudy: o pani!/ O, nie panie, dla panny idącej przez życie przebojem, w dodatku z główką trochę przewróconą, dużo znaczy mieć kogoś zacnego, bezwzględnie życzliwego...

IRENA

/dając jej znaki za plecami Żmudy/ Muchno, wystraszysz mi profesora i tygodniami oczu nie pokaże.

WIĄZECKA

- Odemnie przyjmie, co w twoich ustach mogłoby go zażenować a jeżeli jest panienką to...nie słuchaj. /IRENA wzruszywszy lekko ramionami, przechodzi do przedpokoju a następnie znika w drzwiach kuchni/ Otóż.. /bierze Żmudę za obie dłonie/ niech pan przyjmie od matki prostą ale z pod serca podziękę: Bóg ci zapłać.

ŻMUDA

/całując kolejno obie jej ręce/ Doprawdy pani, że prócz drobnych przysług koleżeńskich a czasem jakichś rzeczowych wskazówek -

WIĄZECKA

- Czyż to mało w studjach ? Kto wie, jakby bez nich wypadł ten doktorat.

ŻMUDA

- Tak,jak wypadł,- świetnie.

WIĄZECKA

/z dumą matki/ Świetnie go zdała ? tak ? I doprawdy może to jej dać kawałek chleba i stanowisko ?

ŻMUDA

- Dało już. Oczywiście początek - jak każdy początek -

ciężki. Te lekcje po pensjonatach i lyceach...

WIĄZECKA

- Męczą ją ?

ŻMUDA

- Zapewne, zwłaszcza teraz z końcem roku nerwy przepracowane, powiedzmy nawet: rozklekotane i z tem należy się liczyć.

WIĄZECKA

- Aż tak ? aż liczyć się ?

ŻMUDA

- ach, niech mnie łaskawa pani źle nie rozumie. W tem wszystkiem niema nic groźnego, uchowaj Boże ! ale... trzeba ją teraz bardzo oszczędzać i nie dziwić się, jeśli czasem...

WIĄZECKA

- Dobrze zatem zrobiłam przyjeżdżają,co ? To się cieszę, to się bardzo cieszę. Już to samo, że odejmę jej myśl a może nawet troskę o dom i kuchnię...

ŻMUDA

- Bezwątpienia,i to coś znaczy. Ale stokroć ważniejsza, że nie będzie się czuła tak samą, że znajdzie oparcie dla swoich... //milknie widząc wracającą z kuchni Irenę/

WIĄZECKA

/która nie widzi jej wejścia/ W listach jej - o ile umiem czytać między wierszami - pan był dla niej...

IRENA

/odmykając drzwi do swego pokoju/ Maryniu !

WIĄZECKA

WIĄZECKA

/urwawszy wpół słowa,ogląda się/

IRENA

- Gdzież ta dziewczyna siedzi...

WIĄZECKA

- Na dole słyszałam, jak zamawiała przejeżdżający automobil.

IRENA

- Skądżeby ? pan żądał ?

ŻMUDA

- Nie.

IRENA

- Zdawało ci się, Muchno.

WIĄZECKA

- Możem się przesłyszała. A co ? trzeba ci co zrobić?

IRENA

- No, choćby walizki przenieść, wody dorrąk podać -

WIĄZECKA

- Ręce mogę sobie umyć i w kuchni.

IRENA

- Czemuż nie na umywalni, Muchno ? Pozwól do mego pokoju -

WIĄZECKA

- O,hola - to sobie wytłumacz, moja panienko. Nie pozwolę ci tańczyć koło siebie, wszędzie trafię i wszystko sama sobie zrobię. /idzie ku drzwiom pokoju Ireny/ Już to w drodze, żeby włożyć sto rękawiczek i sto woalek, to się człowiek tak cały usmoli. /doszła

do drzwi, popchnęła niedomknięte przez Irenę,- na widok wnętrza/ A, ładny masz pokoik.

IRENA

- Taki sobie.

WIĄZECKA

- Milusi bo jasny i biały. Lubię takie panieńskie pokoiki. /znika w nim/

Scena 7.

IRENA

/zrzuciwszy maskę spokoju/ Panie Henryku, co ja mam robić, powiedz.

ŻMUDA

/odpowiada jedynie gestem bezradności/

IRENA

- Ona o niczem nie wie,- nie przeczuwa... Zlituj się, powiedz, doradź. Co robić ? co robić ? - Ach !

ŻMUDA

/po sekundzie namysłu/ Wyjść na spotkanie rzeczywistości i spojrzeć jej w oczy.- Wyznać.

IRENA

/odruchowo,namiętnie/ Nie,nie,nie !

ŻMUDA

- Odwagi, pani,- odwagi.

IRENA

- Nie dziś, nie teraz, nie w tej chwili,- nie w tej chwili... Za skarby świata odwlec ! - Dobę, godzinę,- dobry i kwadrans !! Panie Henryku, czy pan musi iść ?

ŻMUDA

- Muszę.- Trzeba, żeby mię tu nie było - prawda ?

IRENA

- Oczywiście - nie pomyślałam,- tak... /pauza/

ŻMUDA

/ujął jej dłoń, bardzo smutny/ Nawet gdybym został, nie mam...chusty Weroniki.

IRENA

/spojrzała mu w twarz,- nagłym ruchem całuje mu ręce/

ŻMUDA

/bardzo wzruszony,- zrazu broniąc, potem pozwalając na tę pieszczotę - przez dławiące go łzy/ Na miłość boską, pani Ireno, na miłość boską...

WIĄZECKA

/jeszcze za drzwiami/ Tak, teraz człowiek do ludzi podobny. /Irena i Żmuda na czas odskoczyli - Wiązecka wchodzi z ręcznikiem u twarzy - odjąwszy go od oczu i spostrzegając Żmudę/ Ach, przepraszam pana.../cofa się/

IRENA

- Ależ Muchno, nic nie szkodzi.

ŻMUDA

- Moja wina, że jeszcze tu siedzę. Moje oszanowanie paniom. /do Ireny wskazując na stolik/ A tego niech pani nie odsyła, sam po to zajdę.

IRENA

- Sam ? - jaki pan dobry.

ŻMUDA

/ukłonił się Wiązeckiej, wychodzi/

Scena 8.

WIĄZECKA

/odłożywszy ręcznik/ Bardzo sympatyczny -

IRENA

- To mało Muchno,- to święty człowiek. /wskazała na korektę/ Patrz, widzisz, co tu roboty i to dobrze płatnej. Jemu ją zawdzięczam.

WIĄZECKA

- Niech mu to Bóg odpłaci ~~na dzieciach~~.

IRENA

/zdławionym głosem/ A mnie, Muchno ?

WIĄZECKA

/zupełnie naturalnie/ Tobie także.

IRENA

/nagle chwyta jej dłonie i śród łez,zaczyna okrywać pocałunkami/

WIĄZECKA

/zaskoczona tem/ Renuś, co tobie ? uspokój się. O, widzę, że w porę przyjechałam, że jestem tutaj potrzebna. Jakże tak można ? - I czego ? czegóż ty tak ?... No, chodź, siadaj - /idą i siadają na sofce/ Drżysz cała,- uspokój się Renuś ! /pauza/

IRENA

/przypadła głową do jej ramienia, zaszlochała raz z całej duszy,- to przyniosło jej ulgę - opanowawszy

się, odrywa głowę/ Od rana już na płacz mi się zbierało. Nie gniewaj się. Prawda, że ty się na mnie nie umiesz gniewać, nie będziesz gniewać /wpatruje się wnią./

WIĄZECKA

/wziąwszy ją pod brodę,pieszczotliwie/ Doktor i taki... mazgaj. /chce ją pocałować - nagle Irena jakby coś zasłyszała, szarpnąwszy się lekko, nasłuchuje w stronę dziecinnego pokoju/ Co tobie ?

IRENA

- Nic,- zdawało mi się...

WIĄZECKA

- Musisz być bardzo przepracowana.

IRENA

- Nerwy.- /zmusiwszy się do spokoju/ Już Muchno, już,- widzisz ? już jestem spokojna. Zła ze mnie córka, ładnie witam matkę po tak długiej rozłące.- Mów mi teraz o sobie, wszystko, wszystko, - jak ci się jechało ? czemu teraz dopiero, czemuś ty nie odwiedziła mię wcześniej, tak...temu dwa lata... czemu nie wtedy ?

WIĄZECKA

- Niełatwo było mi się zabrać. Wahałam się...ciągnęłam moje taczki,póki mogłam... Długo znosiłam, lata całe, ale wkońcu...

IRENA

- W domu zawsze tak samo ?

WIĄZECKA

/z lekkim, zaraz opanowanym wybuchem, jakby dotknięto jej rany/ Pytasz ?! - Moje dziecko, czyż jabym ci

pozwoliła przez szereg lat nie zaglądać do matki, czyż jabym cię odmawiała od przyjazdu do domu, gdyby w nim było inaczej ? Przecież ja tam jestem - parawanem !

IRENA

/osuwa się do jej kolan/

WIĄZECKA

- Zamknęłabym oczy na wszystko,- szukała usprawiedliwienia i może je znalazła.-Ostatecznie i ja mogę być nie bez winy, chociaż... któż zmieni swoją naturę ? Cóżem ja winna, że... Ach !... Zamknęłabym oczy... Nie, to nie ! ale wyrozumiała i przebaczyła,- tak, nawet przebaczyła, gdybym widziała, czuła, że... Ale te upokorzenia bez liczby,- ale tak dzień w dzień, tak po łyżeczce od kawy połykać to wszystko, znosić te bezczelne spojrzenia wsioskich latawic, te szepty i potrącania w czeladnej, w oborze, w oranżerji,- nie, to doprawdy nad siły,- Bóg mi świadkiem, już nad siły !

IRENA

- Muchna, moja Muchna...

WIĄZECKA

- Po co ja ci to wszystko mówię ? - daruj mi,moja droga. Zapytałaś...Ale to i lepiej, że tak odrazu na wstępie, potem już ani słowa o tem więcej, nigdy, nigdy już. /pocałowawszy ją w głowę, zaczyna chodzić,- Irena osunęła ramiona z jej kolan na siedzenie sofy,- ta kajająca się poza godzi się z nurtującymi ją myślami/ Niewiele myśląc, sprzedałam cały kurnik, do sztuki, - to, co wzięłam za niego i uciułałam przez te dwa lata, odkiedy zastrzegłaś się, żeby ci nic nie posyłać,

zabrałam ze sobą - /zawszeć to kilka tysięcy/ - i przyjechałam. Nie będę ci tu ciężarem, posiedzę rok, dwa najwyżej,- ojciec może się upamięta i zatęskni za czemś więcej niż... Nie będę ci ciężarem, mnie nic nie potrzeba, nic, prócz innego, czystszego powietrza. O, co to ? - patrzaj, szyba rozbita. /odsuwa nogą odruzgi/

IRENA

/podchodząc/ To ze mnie taki niezgrabiasz. Zapomniałam zapięć na haczyk i stłukło się od przeciągu a moja panna nie raczyła dotąd... /przykucnęła, żeby pozbierać,- w przedpokój drzwiami z kuchni wchodzi,wsuwa się raczej zadyszana Marynia/

WIĄZECKA

/powstrzymując Irenę/ Zostaw to, zostaw Renuś, jeszcze sobie palce pokaleczysz.

Scena 9.

MARYNIA

- Ja to w ten moment podmiotę.

IRENA

- A, jesteś. /wstaje/ Gdzież ty siedzisz i oczu nie pokazujesz ?

MARYNIA

/całując ją w rękę/ Niech się panienka na mnie nie gniewa. Musiałam. Ale wszystko już załatwione. /poskoczyła do przedpokoju, wziąwszy do rąk walizki Wiązeckiej/ A gdzie damy rzeczy starszej pani ?

WIĄZECKA

WIĄZECKA

- Byle gdzie. Tam nic nie ma prócz bielizny i trochy konfitur. /do Ireny/ Mnie zaś możesz ulokować choćby w sieni na kołku.

IRENA

- Już to wiele wygodniej nie będzie tu mamie u mnie.

WIĄZECKA

- Byle głowę przytulić,- ot choćby na tej sofie.

IRENA

- Nie. To raczej ja się tu przeniosę.

WIĄZECKA

- O,nie, na to nie pozwolę. Ja tu jestem darmozjad a ty pracujesz i musisz mieć wygodę. /wskazując na drzwi dziecinnego pokoju/ A tam co ? łazienka ?

IRENA

- Nie, ale tam.../zacina się, piersi jej falują,- lada sekundę wybuchnie/

MARYNIA

- Tam-by starszej pani było najlepiej.

IRENA

/przerażona ogląda się na nią,nie rozumiejąc dawanych jej przez Marynię znaków/

MARYBIA

- Tam najwięcej słońca. A że tam trochę więcej turkotu od ulicy...

WIĄZECKA

- To nic.

IRENA

IRENA

- Nie, nie, tam nie !...

WIĄZECKA

/szła ku drzwiom dziecinnego pokoju, ton głosu Ireny zastanawia ją - zatrzymuje się i ogląda na nią/ Dlaczego ? podnajmujesz komu ?

IRENA

- Nie, Muchno, ale tam... /zbliża się do niej ogromnie zmieszana/

WIĄZECKA

/nie bez zdziwienia/ Cóż tam takiego ?

IRENA

/zdecydowawszy się/ Wejdź i - zobacz !

WIĄZECKA

/spojrzała na nią, wzruszyła ramionami - idzie ku drzwiom/ Oczywiście, że wejdę i zobaczę. /doszła, uchyliła drzwi/ A czegóż mnie więcej potrzebb ? w sam raz dla mnie, tylko firaneczki zawiesić... Ależ to bardzo miły, śliczny pokoik. /ostatnie słowa mówi już w progu i w połowie we drzwiach niknąca/

IRENA

/podczas tego pełna lęku, blada jak trup, z przymrużonymi oczyma, z rękoma bezwładnie zwisającymi stoi,- trwa to sekundę. Gdy Wiązecka wsunęła już głowę we drzwi - pada na kolana jak ktoś, co oczekuje ciosu/

MARYNIA

/poniechawszy trzymanych wciąż w ręku walizek, przyskakuje do niej, szeptem/ Niech panienka wstanie,- ach, niechże panienka wstanie ! Pokój pusty.

IRENA

/patrzy na nią obłąkanym wzrokiem/

MARYNIA

/nieledwo rozkazująco/ Proszę wstać ! /podnosi ją siłą/ Wyniosłam.

IRENA

/nie rozumiejąc, martwo/ Wyniosłaś ?

MARYNIA

- Do jednej kobiety za dom.

IRENA

/z bezładem w myślach,- potem ulgą - w końcu nieledwo radośnie/ Za dom ?... oddałaś ?... nie ma go tam ?... jego tam nie ma ? /chwytając oddech/ Naprawdę ? - naprawdę? - naprawdę ? - /chce ją objąć za szyję,ale opiera się tylko na jej ramieniu/

MARYNIA

- Tylko póki starsza pani...

IRENA

- Maryniu !... /kurczowo czepia się jej oburącz ale słabnie, podtrzymywana przez Marynię,osuwa się omdlała na podłogę/

MARYNIA

- Panienko !... Jezus Marja !...

WIĄZECKA

/wchodząc/ Jak wymarzony dla mnie.- Co to ? /podchodzi żywo/

MARYNIA

- Nic, panience zrobiło się słabo.

WIĄZECKA

- Renuś... /pochyla się nad nią/

Kurtyna.

IRENA

/patrzy na nią obłąkanym wzrokiem/

MARYNIA

/nieledwo rozkazująco/ Proszę wstać ! /podnosi ją siłą/ Wyniosłam.

IRENA

/nie rozumiejąc, martwo/ Wyniosłaś ?

MARYNIA

- Do jednej kobiety za dom.

IRENA

/z bezładem w myślach,- potem ulgą - w końcu nieledwo radośnie/ Za dom ?... oddałaś ?... nie ma go tam ?... jego tam nie ma ? /chwytając oddech/ Naprawdę ? - naprawdę? - naprawdę ? - /chce ją objąć za szyję,ale opiera się tylko na jej ramieniu/

MARYNIA

- Tylko póki starsza pani...

IRENA

- Maryniu !... /kurczowo czepia się jej oburącz ale słabnie, podtrzymywana przez Marynię,osuwa się omdlała na podłogę/

MARYNIA

- Panienko !... Jezus Marja !...

WIĄZECKA

/wchodząc/ Jak wymarzony dla mnie.- Co to ? /podchodzi żywo/

MARYNIA

- Nic, panience zrobiło się słabo.

A K T III.

/Pokój jak wyżej, dostatni i elegancki - na ścianach kilka doskonałych reprodukcji słynnych mistrzów, między nimi Cena Leonarda da Vinci, przy drzwiach portjery, na kręcącej się szafce z podręczną bibljoteką „ołtarzyk" rodzinnych fotografji.

Letni dzień, godziny popołudniowe. Przy biurku siedzi IRENA i z ołówkiem w ręku czyta książkę, notując po części na marginesach, po części na leżących obok karteczkach papieru.- Dalszymi drzwiami z lewej wchodzi Marynia.- Widząc Irenę pracującą, zwalnia kroku, wreszcie zatrzymuje się i czeka./

S c e n a 1.

IRENA

/zauważywszy ją wreszcie/ Chcesz czego ?

MARYNIA

- Przyszła Burakowa.

IRENA

/z największem zainteresowaniem/ Przyszła ! - a nie mówiłam, że przyleci w te pędy. /wstaje/ Widocznie ją to samą korciło.

MARYNIA

- Daj Boże, żeby się to raz wreszcie... Ja już tak dłużej nie mogę.

IRENA

- Ty ? Ty nie możesz ?

MARYNIA

- To już drugie na mojem sumieniu.

A K T III.

+++++++++++++

/Pokój jak wyżej, dostatni i elegancki - na ścianach kilka doskonałych reprodukcji słynnych mistrzów, między nimi Cena Leonarda da Vinci, przy drzwiach portjery, na kręcącej się szafce z podręczną bibljoteką „ołtarzyk" rodzinnych fotografji.

Letni dzień, godziny popołudniowe. Przy biurku siedzi IRENA i z ołówkiem w ręku czyta książkę, notując po części na marginesach, po części na leżących obok kartkach papieru.- Dalszymi drzwiami z lewej wchodzi Marynia.- Widząc Irenę pracującą, zwalnia kroku, wreszcie zatrzymuje się i czeka./

S c e n a 1.

IRENA

/zauważywszy ją wreszcie/ Chcesz czego ?

MARYNIA

- Przyszła Burakowa.

IRENA

/z największem zainteresowaniem/ Przyszła ! - a nie mówiłam, że przyleci w te pędy. /wstaje/ Widocznie ją to samą korciło.

MARYNIA

- Daj Boże, żeby się to raz wreszcie... Ja już tak dłużej nie mogę.

IRENA

- Ty ? ty nie możesz ?

MARYNIA

- To już drugie na mojem sumieniu.

IRENA

/nieco podrażniona/ Ta z niem zawsze jak z łysą kobyłą na targ.- Wiesz co ? rozstańmy się lepiej.

MARYNIA

/obrzuca ją wylękłem spojrzeniem/

IRENA

- No,tak, jesteś dla mnie za uczciwa,- męczysz mnie.

MARYNIA

- Dobrze panienko,- odejdę...

IRENA

- Zostaniesz.- Mówiłaś już z nią co ?

MARYNIA

- Nie jeszcze, to trzeba pomaleńku.

IRENA

- Właśnie prosto z mostu, takich najlepiej zaskoczyć znienacka. Weź tylko araku z kredensu i nie żałuj go. Choćby hakami musisz to z niej wyciągnąć. Bo żebymmi się ona sto razy przysięgała, na mogiłkę wodziła - nie uwierzę. Dziecko było przecie zdrowe.

MARYNIA

- Jak rydz. A zamorzyć go nie mogła,bo imkiedy. Przez te dwa lata, co starsza pani tu była, miała mię wciąż na karku a potem, jakeśmy jechały do kąpiel, wiedziała, że ja wnet wrócę.

IRENA

- Musiałaś się przed nią wygadać, że mnie tu potem cały rok nie będzie.

MARYNIA

MARYNIA

- Nigdy, panienko, ani słóweczkiem - a choćbym i powiedziała, to cóż ? - przecież to było moje dziecko.

IRENA

- Któż zaręczy, czy ona nie domyślała się czego. Tyle razy byłam z tobą u niej, tylem razy brała go na kolana i pieściła -

MARYNIA

- Ja panienkę przestrzegałam.

IRENA

/podrażniona/ Nie trzeba go było z domu wynosić. - /spokojniej/ Zmarnowali mi go, zmarnowali, niewiadomo jak i kiedy. Gdy pomyślę, że teraz miałby już piąty rok,- jużby szczebiotał, biegał, broił,- byłoby się już do czego przywiązać.../siada na jednym z fotelików w lewo/ Co ona z nim zrobiła ? co ona z nim mogła zrobić ?...

MARYNIA

- Więc panienka przypuszcza ?...

IRENA

- Nie wiem,dlaczego, ale mi jakiś głos wewnętrzny mówi, że on żyje, że tu się stało coś, czego...że tu ktoś.../do jakiejś dalekiej myśli, z pogardą i nienawiścią/ Nigdy, nigdy ! - Choć tyle wiary muszę w sobie mieć, że jeśli już do niczego więcej,to przynajmniej do obowiązku dorosłam. Nie można żyć plując sobie codzień w twarz ! - Idź i wybadaj ją,a gdybyś uważała, że sama nie dasz sobie rady... Pamiętasz daty ? Dwudziestego ósmego sierpnia przyszła od niej kartka, że zdrów.

MARYNIA

- Mam ją jeszcze.

IRENA

- Nazajutrz pojechałyśmy ze starszą panią w świat, a ty miałaś tylko wstąpić na wieś do swoich.

MARYNIA

- Na trzy dni.

IRENA

- Najpóźniej zatem drugiego, trzeciego września powinnaś była tu już być. Czy byłaś ? - nie wiem.

MARYNIA

- Byłam.

IRENA

- Tylko sobie dobrze przypomnij,- toć rok temu, mogłaś zapomnieć.

MARYNIA

- Byłam, panienko, a nazajutrz - zanim się wzięła porządkować mieszkanie - pobiegłam do niej.

IRENA

- I cóż ? cóż ona wtedy ?

+MARYNIA

- Nic,- że umarło i że już pochowane,- żebym się nie trapiła, bo jemu tam,lepiej, że... Ot, jak to zwykle w takich razach. Chciałam do panienki natychmiast telegrafować, ale wiedziałam to gdzie ? A potem, możem źle adresowała. Profesora nie było,- któż mi miał po francusku napisać ? Mało dziesięć listów wysłałam,- że nie doszły, nie moja wina.

IRENA

- No dobrze,- ale czyż cię to nie zastanowiło, że ja ani odpowiadam ani przyjeżdżam.

MARYNIA

- Owszem, dziwne mi się to wydało, ale...

IRENA

- Co ?

MARYNIA

- Panienka nie sama była a przytem przyszło mi na myśl, że...

IRENA

- Że co ?

MARYNIA

- Że panience...lżej bez tej ... kuli u nogi.

IRENA

/zafrapowana tem jej wyrażeniem/ Kuli u nogi ?... Skąd ci do głowy przyszło tak to nazwać ? gdzieżeś ty to wyczytała ? - no, bo przecież z powietrza nie wzięłaś. /wskutek szmeru dochodzącego z przedpokoju, wskazału ku niemu/ Ktoś wszedł, nie słyszysz ? /idzie żywo w głąb,- półgłosem i pospiesznie/ Ktoby nie był, niema mię w domu. /staje w drugim pokoju w głębi i odczekuje widzialna między portjerami/

MARYNIA

/poskoczyła żywo do przedpokoju,lecz spóźniła się nieco tak,że załatwia przybyłych w progu bliższych drzwi w lewo/

Scena 2.

SOLIŃSKA

/dawna Janka Miłocka - na tle przedpokoju/ Zastajemy panią ?

MARYNIA

- Panienka wyszła.

SOLIŃSKA

- Tak, widziałam, do drugiego pokoju. /słychać w przedpokoju czyjeś znaczące chrząknięcie - Solińska ogląda się - i zaznacza gestem głowy: „wiem co robię"/

MARYNIA

- Kiedy naprawdę...

SOLIŃSKA

- Rozumiem cię, moje dziecko, ale jestem pewna, że dla nas zrobi wyjątek /wręcza Maryni dobyty z torebki bilet,- widząc jej wahanie/ Zanieś, zanieś, ja to już biorę na siebie.

MARYNIA

/acz niechętnie,odchodzi w głąb,- oddaje bilet Irenie,- Irena go wzięła, przeczytała, wzruszyła ramionami, poleca odprawić gościa/

SOLIŃSKI

/podczas tego z przedpokoju do Solińskiej,która stoi śród garnituru mebli w lewo,półgłosem/ Anka, daj pokój Anka ! Przyjdziemy później.

SOLIŃSKA

/półgłosem/ Kiedy ? chyba zatrzymamy się przez jutro.

SOLIŃSKI

/j.w./ Niepodobieństwo,- cóż zrobię z końmi na stacji.

SOLIŃSKA

/j.w./ Właśnie. A jak nie dziś, to już się z nią nie zobaczę.

SOLIŃSKI

/j.w./ No, mogłabyś przecież na powrotnej drodze...

MARYNIA

/powróciwszy/ Panienka bardzo przeprasza, ale...

SOLIŃSKA

/trochę skonfundowana/ Nie może ? mnie ? - Ha, no, trudno, nie może, to nie może. Bardzo żałuję. Proszę pani powiedzieć, że była tu dawna Janka Miłocka - zapamiętasz ? /dobitniej/ Janka Miłocka.

IRENA

/która za portjerą w głębi strzygła uchem - wbiega/ Jestem, jestem !

SOLIŃSKA

- Irka ! /witają się serdecznie/

SOLIŃSKI

/cofa się tymczasem do przedpokoju, by odłożyć zarzutkę i pakiecik/

IRENA

- Daruj mi, moja droga,- z tego biletu nie byłam mądra. Jak się masz, moja złota. Pamiętałaś o mnie. /powtórne uściski/ Jakaś ty dobra, jakaś ty poczciwa - nie mogłaś mi sprawić większego święta.

SOLIŃSKA

- I sobie, Irko, i sobie. A już chciałaś z kwitkiem odprawić.

IRENA

- Bo - widzisz - tak się dzisiaj złożyło... Ale to nic.- Maryniu, wracaj do kuchni i rób swoje. Weź z kredensu co trzeba i... rozumiesz mnie ?

MARYNIA

- Rozumiem. /wychodzi dalszymi z lewej/

SOLIŃSKA

- Irko, powiedz szczerze, możeśmy ci tu nie w porę ?

IRENA

- Możeśmy ? Toś ty nie sama ? /idzie żywo w stronę przedpokoju, skąd wchodzi Soliński.- Irena nieco zdziwiona/ Pan ? /patrzy na nich kolejno,- z łączącym ich gestem rąk/ To wy ?...

SOLIŃSKA

- Ta jeszcze nie skombinowała.

SOLIŃSKI

/żartobliwie/ Kombinacja trochę dzika, prawda ?

IRENA

/nieco zmieszana/ Dlaczego ? Tylko nazwisko pańskie wyleciało mi z pamięci i w pierwszej chwili../podała mu rękę/

SOLIŃSKI

/całując/ Niech się pani przyzna, że panią co innego zbiło z tropu. Nie przypuszczała pani, żebym tak nisko upadł, prawda ?

IRENA

- Jakto ?

SOLIŃSKI

SOLIŃSKI

- Po kilku zaledwo latach pożycia, zostawia mię w przedpokoju, jak parasolkę.

SOLIŃSKA

/grożąc mu nią/ Tej właśnie nigdy z ręki nie wypuszczam.

IRENA

/dociągając się do ich tonu/ Jakże można było żenić się z taką megerą. /obejmuje i całuje Solińską/

SOLIŃSKI

- Wstając legając sam siebie o to pytam i nie znajduję odpowiedzi. Stało się. A kto temu wszystkiemu winien ?- pani.

IRENA

- Siadajcie.- Więc to jam winna pańskiej niedoli ? /usiedli na garniturku z lewej/

SOLIŃSKI

- Juźci. A gdzież mnie ona oplątała, jeśli nie w tej tam altance z bzów i jaśminów - pamięta pani ? - tam w ogrodzie u Łęskich.

IRENA

/wspomnienie zachmurzyło ją na sekundę - głosem pogodnym/ To to takie stare dzieje ? takie z was koty ? Nic nie wiedziałam,- ej,Janka, Janka.

SOLIŃSKA

- Bo to - widzisz - tak było. Raz ja przyszłam do ciebie zawcześnie, drugi raz on przyszedł zawcześnie.

IRENA

IRENA

- Później oboje już przychodziliście zawcześnie -

SOLIŃSKI

- I djabeł zrobił swoje, że wszystko było na porę.

IRENA

- Mimowoli zatem i bezwiednie byłam dla was Galeottem. A kiedyżeście...przestali czytać ?

SOLIŃSKI

/emfatycznie, z intonacją pytania/ „Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje" ?

IRENA

/przytakuje głową/

SOLIŃSKA

- Bardzo dawno, już zapomniałam. Sam fakt żałosny zaszedł w Bernie szwajcarskiem, dokąd mnie podstępnie zwabił czułymi listami a co do daty ? - miałabym też co pamiętać ! Niech ci on na pierścionku pokaże.

SOLIŃSKI

/zabierając się do ściągnięcia pierścionka/ Widzi pani, widzi pani,- na każdym kroku takie szpilki i upokorzenia. I ja to znoszę.

IRENA

- Niech pan nie ściąga. Co tam data ! - Musi być świeża, bo jeszcze musujecie jak szampan.

SOLIŃSKI

- Gdzieżtam, pani ! - jeden korek już dawno wyleciał i raczkuje po podłodze, a drugi...

SOLIŃSKA

SOLIŃSKA

- Janek, nieznośny gaduło ! Może choć gospodyni pozwolisz dojść do słowa.

IRENA

- Przeciwnie, niech pan mówi. W pańskim głosie jest jakiś rozmach szczerości a to taka rzadka muzyka dla moich uszu i nietylko... dla uszu. /sposępniała nieco/ Wracacie na stałe do kraju ?

SOLIŃSKI

- Uchowaj Boże, - a jabym tu co robił w tem zatęchłem powietrzu.

IRENA

- Ma pan rację,- tu i oddychać nie ma czem i naprawdę udusić się nie dadzą człowiekowi. Ale i tam !... Byłam teraz przeszło rok,- Berlin a potem Francja i trochę nad morzem w Bretanji. Tam znowu tęsknota człowieka zżera. Jakże wy z nią sobie radzicie ?

SOLIŃSKI

- Na stary, wypróbowany, domowy sposób. /chce przywinąć żonę i pocałować/

SOLIŃSKA

- Janek ! /zapłoniona wyrywa mu się i przeszedłszy w prawo, siada przy biurku Ireny/

SOLIŃSKI

/kończąc poprzednie zdanie/ ... a na chandrę, taką chandrę, co to psiakrew ! jest laboratorjum albo góry. Toć-to centimy kosztuje. Czasami, nawet często, przywiezie ktoś z sobą kawał Polski, to jest plotek. Włóczy się tam tego pełno, nie wiedzieć po co i na co ?

Ot,choćby... jakże się ona nazywała ? - z waszego niegdyś „bractwa czterech I"... ach, no jakże ona ? Pamiętasz Anka, ta strojnisia...

SOLIŃSKA

/ucinkowo/ Nie pamiętam. /zagłębia się w papiery Ireny/

SOLIŃSKI

- No ta, ta... musiała przecież być u pani... Anka przesłała pani przez nią uściski i pozdrowienia - /przypomniawszy sobie/ Szaływińska !

IRENA

/z kostycznym uśmiechem/ Ach, Julka Szaływińska... Nie, nie doszły mię i dojść nie mogły. A podjęła się ich, prawda ? Otóż widzi pan, to jest specyficznie nasze. Nawet tam w Bernie... Dlaczego to nie powiedzieć odrazu: nie przyjmuję mandatu, bo zerwałam z nią. Tak, zerwała - i nie ona jedna. Wszystkie. Zawszeć to bezpieczniej nie kompromitować się.

SOLIŃSKA

- Irko !

IRENA

- My wszyscy żyjemy obłudą. No tak, nazywajmy rzeczy po imieniu.

SOLIŃSKA

- Sama nie wierzysz w to, co mówisz.

IRENA

- Poznałam już świat i ludzi.

SOLIŃSKA

- To znaczy - siebie.

IRENA

- Ja też siebie nie wyłączam - przeciwnie.
/chwila przykrej ciszy/

SOLIŃSKI

- Wiecie panie co ? macie sobie pewno niejedno do powiedzenia /wobec gestu Ireny a po części Solińskiej/ no tak, nie byłybyście kobietami - że Anka nią jest, ręczę,- Otóż -/wstaje/ pogadajcie tu sobie, a ja tymczasem wybiegnę załatwić coś na mieście,- dobrze ?

SOLIŃSKA

- Zaniedbuj mnie, zaniedbuj -

IRENA

- To niebezpiecznie.

SOLIŃSKA

- Krzyżyk na drogę.- Ale zajdziesz tu po mnie ?

SOLIŃSKI

/przyjmując podaną dłoń Ireny/ Zaręczam pani, że gdyby każdy oblubieniec mógł wieszczym duchem przeczuć te tobołki, których później musi pilnować...

IRENA

- To co ?

SOLIŃSKI

/całując ją w rękę/ Ludzkość przestałaby się rozmnażać. Dowidzenia. /do Solińskiej/ Pa, toboł...aniołku. /wychodzi drzwiami bliższymi w lewo/

Scena 3.

IRENA

- Lubego masz męża.

SOLIŃSKA

- Złote chłopczysko. Nie orzeł ale za to zacność chodząca. I kocha - wiesz ? - tak poprostu, serdecznie. Można zupełnie wiosła odłożyć, zamknąć oczy i... wieź mnie, gdzie chcesz !

IRENA

/która tymczasem usiadła na sofie przed biurkiem plecami o boczne oparcie jak na szezlongu tak, że może z Solińską swobodnie rozmawiać/ To jest właśnie szczęście, to największe.- Żeby to tak można choć na sekundę!

SOLIŃSKA

- Bardzoś zmęczona.

IRENA

- Uszczwali mię jak zająca. Ten pies wyrwie kawał, tamten pies wyrwie kawał,- przeliczyłam się z siłami. Postawiłam wielką stawkę i... albo tak prawie jakbym już przegrała. Bo... ty wiesz...że przeszłam...macierzyństwo ?

SOLIŃSKA

- Wiem.

IRENA

- Nie dało mi ono nic, nic, prócz boleści, łez i wstydu. Jeszcze komuś... Pamiętasz nasze dyskusje ? Dziś widzę, że to się wyrozumować nie da. Miłość jest dla nas wszystkiem. My jej wyłącznie pragniemy a dziecko jest tą Schoppenhauerowską niespodzianką, rodzajem deus ex machina.

SOLIŃSKA

/z przekonaniem/ Mylisz się.

IRENA

- Ach ! /machnęła ręką/ Mnie nawet instynkt zawiódł,- nie przywiązałam się.

SOLIŃSKA

- Nie ? - powiedz mi, jak może nie przywiązać taki owoc dwóch bliźniaczych kwiatów, dwojga oddanych sobie serc ?

IRENA

/z pewnem zamyśleniem/ Otóż to,- serc, serc... U ciebie tak było, ale... Nie mówmy o tem. /innym tonem, trochę żywiej/ U mnie tak nie było, ja nie zaznałam... No, nie patrz tak na mnie, nie gorsz się. Nie byłam ladacznicą.

SOLIŃSKA

- Irko !

IRENA

/znów z pewnem zamyśleniem/ Dopiero jestem na drodze do niej i tego się boję. /objaśniająco/ Duszą nie ciałem. /wstaje, zaczyna chodzić/

/pauza/

SOLIŃSKA

/wskazawszy na książki na stole/ Widzę, że nad czemś pracujesz. Cóż z twoją docenturą ?

IRENA

- Nic.- Skądże ci ona na myśl przyszła ?

SOLIŃSKA

/wskazując na fotografje „ołtarzyka"/ Tak,- spojrzałam na fotografję Żmudy.- Żyje ? - Cóż porabia ?

IRENA

IRENA

/trochę zmieszana/ Nic. Wykłada.

SOLIŃSKA

- Bywa u ciebie ?

IRENA

- Owszem, on jeden nie zmienił się dla mnie, choć miałby... Owszem, bywa, i dziś ma przyjść. Złożył na moje ręce quasi testament i...

SOLIŃSKA

- I co ?

IRENA

- Nic.

/Pauza/

SOLIŃSKA

- No, a matərjalnie ? jakże ci idzie ? Wciąż jeszcze musisz się tak borykać ?

IRENA

- Teraz już mniej. Ludzie trochę zapomnieli a raczej udają, że zapomnieli. Dużo mi pomogło, że przez dwa lata miałam tu matkę przy sobie.

SOLIŃSKA

- Tak ?

IRENA

- Ale com przeszła, to tylko ja jedna wiem. Dwa lata męki ! Pilnować, żeby nie doszło do jej uszu, żeby nie dopuścić do niej nikogo...

SOLIŃSKA

/z odcieniem zgrozy ale i współczucia/ Nie przyznałaś się ?

IRENA

/zaprzecza głową,- z bolesną ironją/ Żeby nie zatruć jej starości, nie zburzyć w niej wiary... ha-ha-ha ! tak to.- widzisz - argumentuje wzniośle Judasz, co w każdym z nas siedzi. Ją ocalić... /b.namiętnie/ siebie, siebie, siebie !! /spokojniej/ W pierwszej chwili przypadek zdecydował... Nie przeczuwałam następstw. Świat podziwia moje studjum „O lęku",- nagrodzono je w Sorbonie,- Jezus Marja ! żeby oni wiedzieli, czem okupiłam ten laur. Nie słowa,- tam każda litera krwią broczy,- rozumiesz ? - każda !!

SOLIŃSKA

/wstała,podchodzi do niej/ Moja Irko, to jest zwykła cena sławy. Ślimaki nie rozbijają się, tylko orły.

IRENA

- Frazes ! /z gestykulacją świadczącą,że niemal widzi to,co opisuje/ Wiesz, jak mi się przedstawia moja ścieżka ? wiesz jak ? - Mur, taki mur z ordynaryjnych cegieł,- wązki, że tylko w pojedynkę iść po nim można. Z jednej strony jakieś zaropiałe bagno pełne ropuch, z drugiej lazurowy kryształ z łódką, w którą tylko siąść i... nieś mnie gdzie chcesz ! W obie strony jednako blisko a wierzch muru jeży się potłuczonem szkłem. Po takim murze idę boso.

SOLIŃSKA

- Skocz w łódkę.

IRENA

- Nic łatwiejszego. Tylko trzaby dać przewoźnikowi obola, miedzianego obola, na którym napis: podłość.

SOLIŃSKA

SOLIŃSKA

- W tyglu uczucia przetopi się na szczere złoto. Przegrałaś głową,- wygraj sercem. Kochasz ?

IRENA

/b.namiętnie/ Każdym fibrem niezaspokojonej tęsknoty.

SOLIŃSKA

- A on ?

IRENA

- Ofiarę całego życia u nóg moich położył,- bez słowa skargi, bez nadziei wzajemności --

SOLIŃSKA

- To znaczy, że tą nadzieją tylko żyje. Powierz mu się.

IRENA

- Z tem wszystkiem, co się wlecze za mną ?

SOLIŃSKA

- Wolisz brać ofiarę czyjegoś życia i nic za to nie dać ? - Irko !

IRENA

- Nie mogę !

SOLIŃSKA

- Nie chcesz !

IRENA

- Nie mogę, nie mogę,- skrzydziłam go stokroć ciężej niż siebie...Nie mogę, nie powinnam... Widzisz, on zna moją przeszłość, wszystko... Widzisz, co innego jest wyrozumiałość,- sam Bóg nie mógłby mi jej więcej okazać,- a co innego przebaczenie,- źle mówię: pamięć! Tę wydrzeć z niego nie w mojej jest mocy.

SOLIŃSKA

- Ale w jego. Siądź w łódkę.

IRENA

- Gdybym miała pewność... Boże ! cień jej by nie wystarczył...

/Podczas ostatnich słów słychać było jakiś szmer w przedpokoju,- drzwiami bliższymi z lewej wchodzi chłopiec z magazynu kwiatów, uginając się formalnie pod dwoma naręczami chryzantem, astrów, heliotropów i tuberoz. W chwilę potem wchodzi Soliński./

Scena 4.

IRENA

- Jakie śliczne,- patrz Janka, jakie cudne ! To pomyłka, chłopcze.

SOLIŃSKI

- Oczywiście - jak ty mogłeś gamoniu... Skandal, czysty skandal. /odbiera część kwiatów/ Wyrwał się żonkoś cichcem na swobodę, zdążył sobie upatrzyć kobietkę -

SOLIŃSKA

- Oczy ci wydrapię !

SOLIŃSKI

- Taki blamaż może się zdarzyć tylko w zaścianku. /do chłopca/ Ach,ty ! no, zostaw i zmykaj,gdzie pieprz rośnie. Czekaj, a wiesz przynajmniej, gdzie pieprz rośnie ?

CHŁOPIEC

- W ciepłych krajach.

SOLIŃSKI

SOLIŃSKI

/dając mu napiwek/ No, to masz na drogę. /chłopiec wychodzi/

IRENA

- Jakież cudne te chryzantemy.- Ach, i tuberozy !

SOLIŃSKI

- Nie wiem tylko, czy pani znosi ich zapach.

IRENA

- To dla mnie ? naprawdę ?

SOLIŃSKI

- Na przeprosiny za najście i za to, że zabieram Ankę i to natychmiast. Byłem w hotelu...

SOLIŃSKA

/niespokojna/ Co się dziecku stało ?

SOLIŃSKI

- Okropność, przeziębił się w pieluszkach i dostał zapalenia włosów. Tragedja.- Gorsza jednak, że za godzinę nasz pociąg odchodzi,- od wczoraj zmienili rozkład - i jeżeli mamy na noc rodziców uściskać...

IRENA

- Jedziecie do nich ?

SOLIŃSKI

- Za godzinę. Zbieraj się Anka.

/Z lewej drzwiami dalszymi wchodzi MARYNIA z pewnem zakłopotaniem zatrzymuje się/

SOLIŃSKA

/całując się z Ireną/ Na powrotnej drodze wpadnę do ciebie znowu.

IRENA

- Wpadnij, moja złota - i pan, pan także /podaje mu rękę/ Odżyłam przy was. Pan jest kochany.

SOLIŃSKI

/całując ją w rękę,- do żony/ Słyszysz ?

IRENA

- Kochany.

SOLIŃSKA

/rozdzielając ich/ O,moja droga, przynajmniej nie przy mnie.

SOLIŃSKI

/z udaną emfazą/ Milcz serce !... /poważnie i bardzo serdecznie/ Dowidzenia nasz ty Galeotto. /pocałował w rękę i wyszedł do przedpokoju/

SOLIŃSKA

- Bądź zdrowa Irko. Głowa do góry...i...z zamkniętymi oczyma !

IRENA

- Nie mam odwagi -

SOLIŃSKI

/na tle przedpokoju, z zarzutką i pakiecikiem/ No, Anka, Anka -

SOLIŃSKA

- Zaraz.- /do Ireny/ Świat do odważnych należy.

IRENA

/z zadumą i goryczą/ Ale ja do tchórzów.

SOLIŃSKA

SOLIŃSKA

/pocałowała ją i wyszła,- po chwili słychać z przedpokoju głos Solińskiego: do widzenia ! i głos Solińskiej: dowidzenia Irko ! - Irena jednak nie reaguje na to,- dopiero gdy spostrzega przy sobie cień Maryni, budzi się z zadumy/

Scena 5.

IRENA

- No, cóż tam ?

MARYNIA

- Zacięła się i ani rusz. Nie było mię tu słychać, jakem zawodziła od płaczu ?

IRENA

- Nie. A nie miarkujesz... może ona na pieniądz łakoma ?

MARYNIA

- A któraż z nich nie chciwa ?

IRENA

- Przyprowadź ją tu, musimy się z tem uwinąć zanim... /za niknącą już w dalszych drzwiach z lewej/ Ale nie pijana ?

MARYNIA

- Trochę się zaryżyła.

IRENA

- Przyprowadź. /ze zmarszczką na czole skupia swe myśli,- potem instynktownie, by uniknąć zetknięcia z przybyłą, siada w fotelu za biurkiem i wyjmuje z szuflady szkatułkę żelazną,- otwiera ją, dobywa list opieczętowany, spojrzała na niego, zda się chce go nawskroś

przeczytać,- odkłada jednak,- potem bierze kilka banknotów i przelicza je palcami jednej ręki, rozsunąwszy je w wachlarz.- Chwilę czeka.- Drzwiami dalszymi z lewej wchodzi BURAKOWA, podmiejski ordynaryjny typ,- mówi jednak głosem przyciszonym, nawykłym do poufnych rozmów/

BURAKOWA

- Całuję rączki.

IRENA

- Jak się macie, Burakowa. /widząc,że chce podejść i przywitać się z nią, zatrzymuje ją gestem/ Dzień dobry, dzień dobry. Maryniu, daj krzesło.

MARYNIA

/przynosi wyplatane krzesło z pokoju w głębi,- stawia je nawprost w pośrodku/

BURAKOWA

- Postoję.

IRENA

- Siadajcie.

BURAKOWA

- Całuję rączki. /siada/ Kapkę już późno na mnie. Telo drobdazgu na głowie. A jeszcze mam Nestla kupić.

IRENA

- Używacie go ?

BURAKOWA

- Podkarmiam, bo krowa cielna. Niech się ta tuczą robaczki, nie żałuję im. To też czerwone i tłuste.

IRENA

IRENA

- No, nie zawsze i nie wszystkie.

BURAKOWA

- Cheby który chorowity, to się trefi.

IRENA

- Trudno o zdrowsze dziecko jak był jej Staś.

BURAKOWA

- Wola boska była.

IRENA

- Cóż mu się stało, powiedzcie. Przejechali go ? wpadł do gnojówki ?

BURAKOWA

- U mnie ? u „aniołka" ?

IRENA

- Może się udławił ?

BURAKOWA

- Czem ? - cheba mlekiem.

MARYNIA

/insynuując/ Mógł i poduszką.

BURAKOWA

/nie podnosząc się, przekręca się ku niej na siedzeniu, dobrodusznym głosem ale z wyrafinowaną złośliwością/ No, no, jabym cię wziena za nianię, - wypraktykowanaś. /odwraca się ku Irenie/

IRENA

/podrażniona, dawszy tymczasem znak Maryni, aby odeszła/ Niech Burakowa nie zważa na nią, żal przez nią mówi. My się łatwiej dogadamy. A może jeszcze szkla-

neczkę herbaty z rumem, co ?

BURAKOWA

- Całuję rączki.

IRENA

- Maryniu, przygotuj tam -

/MARYNIA odchodzi/

BURAKOWA

/wstaje/ Późno już na mnie.

IRENA

- Chwileczkę.

BURAKOWA

/siada/

IRENA

- Ja wiem, Burakowa, że z was rzetelna kobieta...

BURAKOWA

- Nazywałyby mię to „aniołkiem" ? Ja ta jeszcze chwa-
lić Boga żadnych turbacji nie miała, żaden śpektor
nie miał u mnie co szukać -

IRENA

- Któż mówi...

BURAKOWA

- Ho,ho, proszę łaski pani, jakto poniektóra codzień
szczotką dziecięciu łydkę nasiecze i /pokazując rękę
na ręce swojej/ wyciśnie...

IRENA

/ledwo panując nad odrazą/ Przestańcie !...

BURAKOWA

BURAKOWA

- To ino telo znać co od pokrzyw.

IRENA

- Dość dla komisji. Bo to, rozumienie, że musi się zrobić ekshumację.

BURAKOWA

/zaniepokojona/ Humacją ? u „aniołka" ? - Znajdą gu-zik !

IRENA

- Co znajdą, to znajdą.

BURAKOWA

/obejrzała się, podchodzi do biurka, prawie szeptem/ Musieliby gdzieindziej szukać.

IRENA

- Poszukają. Marynia tego żąda. Jutro zrobi się doniesienie do sądu.

BURAKOWA

- Co mię ona straszy sądem. To nie wolno dziecka oddać ojcu ?

IRENA

- Ojcu ?! /spokojniej/ jakiemu ojcu ?

BURAKOWA

- No, ojcu. Toli je odebrał... A tak ! a ja co mam bez to cierpieć ? Ja jej nie mówię, bo tajemnica,- przysięgłam. Ale humacyja u mnie nie była i nie będzie.

IRENA

/ledwo hamując wzruszenie/ Więc...ono...żyje ?

BURAKOWA

BURAKOWA

- Jam je odwiezła zdrowe.

IRENA

- Dokąd ?

BURAKOWA

- Na wieś, do jakiegoś leśniczego.

IRENA

/z pierwszymi oznakami domysłu/ Leśniczego...gdzie ?

BURAKOWA

- Jakosi sie to nazywa... Sosnówka ?...

IRENA

/z zapartym oddechem/ Do Sosnówki ?

BURAKOWA

- A ino.

IRENA

- A ten...jego...ojciec ?

BURAKOWA

- Wiem to ?

IRENA

/wstała - wziąwszy fotografję Żmudy,pokazuje jej nie spuszczając z niej oczu/ Czy...nie...ten ?

BURAKOWA

/odrazu/ No, no.

IRENA

- Ten ?! - Nie, czekajcie, spokojniej,- pomówmy spokojniej... Przyjrzyjcie się dobrze,Burakowa,- na Boga! przyjrzyjcie mu się dobrze. Ja wam dam...ot,tyle,ile

mi się wzięło do ręki /wzięła garść banknotów/ Na zbawienie duszy powiedzcie: czy Stasia wziął ten pan ?

BURAKOWA

/przyjrzawszy się/ Akuratnie ten.

IRENA

/jak podcięta siada na fotelu,- walczy z szarpiącymi ją uczuciami/

BURAKOWA

- Taki już obstarni, siwawy,- no, hrabia. Ino mu tu ktoś bez skroń dojechał /ukazała/ Chodził i prosił i docierał... Ja nic. Ale jak mi się przysiągł, co ono jego, co będzie miał o niego starunek... A i coś tam wsunął...

IRENA

- Nie mówcie, nie mówcie nic, Burakowa. Weźcie te pieniądze i nic nie mówcie.

BURAKOWA

- Cobym miała /zgarnia pieniądze/

IRENA

- Cicho, cicho,- nie mówcie nic, nic. Najlepiej, idźcie już. Ja wam tam później co dołożę...

BURAKOWA

- Ino coby Marynia...

IRENA

- Bądźcie spokojna.

BURAKOWA

- Całuje rączki. /uszła kilka kroków,odwraca się/ A ta humacja, proszę łaski pani...

IRENA

/daje jej znak,ręką,żeby wyszła/

BURAKOWA

- Całuję rączki. /wychodzi/

IRENA

/chwilę siedzi zupełnie bez ruchu, wpatrzona w fotografję Żmudy, której nie puściła z ręki/ On...znowu on... /przechyla się wstecz - patrzy tępo przed siebie,- po twarzy jej płyną pierwsze łzy,- ociera je palcem na policzku. Zwolna pierś jej zaczyna wstrząsać dobry, cichy, ulgę przynoszący szloch. Przy jednem silniejszem zaniesieniu się,,pochyla się naprzód,- opiera głowę na rękach i na stole i płacze długo, długo./

Scena 6.

MARYNIA

/wraca, pogląda na nią chwilę, podchodzi do biurka/ Panienko !

IRENA

/nie rusza się/

MARYNIA

- Panienko.../dotyka jej ramienia/

IRENA

/podnosi głowę, patrzy na nią/

MARYNIA

- Niech się panienka uspokoi.

IRENA

/potrząsnąwszy głową/ Czerwone mam oczy ?

MARYNIA

MARYNIA

- Trochę.

IRENA

- Nie trzeba, żeby zauważył. Daj mi lusterko.

MARYNIA

/przynosi z drugiego pokoju, podaje/ Może wody kolońskiej ?

IRENA

/nie odpowiadając na pytanie, po chwili/ Nie wyglądam jeszcze tak staro, prawda ?

MARYNIA

/obrzuca ją zdziwionem nieco spojrzeniem/

IRENA

- No, powiedz-że mi. /oddaje jej lusterko, które ona odnosi skąd przyniosła. Irena żywo i elastycznie wstawszy z fotela, poglądając na swą toaletę/ Tylko ta suknia taka już... /Marynia wróciła/ Cóż tak patrzysz na mnie ? że nie płaczę ? Nie trzeba płakać, życie jest piękne, och,jakie piękne ! - Daj te kwiaty, żywo. /Marynia poskoczyła do stolika w lewo, dokąd i Irena podchodzi/ Szkoda, że tak mało.../wzięła ich pęk w każdą dłoń/ Gdzie flakony ? - przynieś tu wszystkie,- wszędzie, i tu i tam, wszędzie ! Ach, nie marudź,moja droga, prędko, prędko ! /Marynia wskutek pośpiechu zleceń nie wie co pierwej robić - wreszcie wybiega do pokoju w głębi - po chwili wraca z kilku różnej wielkości flakonami. Tymczasem Irena napawa się kwiatami, tuląc do nich twarz/ Cudne, cudne ! /widząc,że Marynia zabiera się w pierwszej linji do umajenia „ołtarzyka" z fotografjami/ Czekaj, tam nie,- tam ja sama, ja sama.

/podbiega, popychając Marynię ku stołowi w lewo/ Ty tam,- tylko nie ściskaj, zupełnie wolno, po kilka gałązek. /nerwowo i pospiesznie gdzie może ustawia kwiaty,- Marynia jej pomaga, ale wraz wraz pogląda na nią zdziwiona/

/Pauza/

MARYNIA

/nieśmiało/ A... proszę panienki...

IRENA

/nie przerywając roboty/ Co moja złota ?

MARYNIA

- Cóż... Staś ?

IRENA

- Żyje !

MARYNIA

/poniechawszy kwiatów/ Gdzie ?!

IRENA

- Tu we mnie ! Przebaczyłam tobie i jemu wszystkie moje łzy, bo i mnie przebaczono.

MARYNIA

/zasłyszawszy coś w przedpokoju chrząka/ Hm-hm, panienko... /wskazała ku przedpokojowi, ucieka ku drzwiom dalszym w lewo/ Pan Profesor...

IRENA

/wybiega do przedpokoju, słychać jej głos/ Ach, już myślałam... /wchodzą,- z przyjaznym wyrzutem/ Niedobry, tak późno.

S c e n a 7.

ŻMUDA

- Trochę-m się dziś zasiedział.

IRENA

- Zawsze nad mikroskopem ?

ŻMUDA

- Tym razem nad mikrokosmem. Habilitacja.- Narwana głowa ale otwarta. Młody i we łbie mu się pali. Z takiej mąki bywa chleb. Z niego będzie chleb. /wręcza jej pudło cukrów/

IRENA

/odbierając/ Niepoprawny.

ŻMUDA

- /całując ją w rękę od strony dłoni/ Taki już jestem. /spojrzał na nią i po pokoju/ Co tu kwiatów ! Czyżby święto ? /pogląda na nią badawczo/

IRENA

/spuszczając oczy/ Może...

ŻMUDA

- Tak ?... /sekundę patrzy w nią,- puściwszy jej dłoń/ Zupełnie jak w wiejskim kościele na Zielną. /chwytając woń nozdrzami/ Tylko heliotrop zamiast macierzanki... Tego roku naznosiły u nas tyle tego -

IRENA

- Więc jednak był pan w Sosnówce a mówił pan...

ŻMUDA

/lekko stropiony/ Byłem i nie byłem, ot tak, wpadłem

na jeden dzień zajrzeć do siostry. /przystanął nad stolikiem w lewo, gdzie pozostała jeszcze cała góra kwiatów,- wydobył z niej chryzantemę,- ma zamiar włożyć ją sobie do butonierki/ Wolno ?

IRENA

- Wybiorę panu, dobrze ?

ŻMUDA

/odrzucił swoją, z nadstawioną butonierą czeka/ Skoro święto - niechże już będzie zupełne. Cały dzień tak mi się dziś składa. Od rana jestem pod wrażeniem.

IRENA

- Tak ?

ŻMUDA

- Pod niezwykłem wrażeniem.

IRENA

/założywszy mu kwiat/ Ciekawam.

ŻMUDA

- Opowiem.

IRENA

- Siadajmy.

ŻMUDA

- Pozwoli mi pani pochodzić ?

IRENA

- Ależ i ja chętnie nogi rozprostuję,- bo nie pójdziemy nigdzie, prawda ?

ŻMUDA

/z przyjazną poufałością/ Nie chodźmy.

IRENA

/biorąc go pod ramię/ Więc ?- cóż pana dziś tak nastroiło ?

ŻMUDA

- Miałem sen,- pierwszy raz w życiu taki sen.

IRENA

/w lewą rękę wziąwszy pęk kwiatów ze stołu pociąga go lekko,- zaczynają chodzić/ Piękniejszy niż rzeczywistość ?

ŻMUDA

/spojrzał na nią,- z błogim uśmiechem/ To było taksamo lube. Zazdroszczę tym, co może co dnia miewają takie zwidzenia.

IRENA

/nie zmieniając pozycji swej prawej ręki, którą Żmuda przyciska pod ramieniem, podnosi ku niej lewą z kwiatami,- palcami prawej wyciąga z pęku jeden kwiat i nieznacznie upuszcza mu pod stopy. Żmuda poczuł, chce się poń schylić/

IRENA

- To nic, niech leży...

ŻMUDA

/idąc dalej/ Otóż... Śniłem, że jestem w jakiejś zamkniętej przestrzeni,- niby to szopa, niby stodoła ale to był wieczernik, /wskazując na Cenę Leonarda da Vinci/ Nie taki,- bez okien i mroczny ale wieczernik. /Irena znów upuszcza kwiat, Żmuda półruchem chce się poń znowu schylić lecz pociągnięty przez Irenę idzie z nią znów dalej/ Patrzę, stół... taki ubożuchny, nasz, chłopski stół. Z prawej paru apostołów, z lewej

paru a za tymi z prawej jakiś cień. Nie widziałem go, ale czułem, że ma twarz steraną i zbiedzoną. /Irena znów upuszcza kwiat/ Więc tak wygląda Matka Boża ? taka biedusia ?... Zadrżałem a jakiś płomyk,- bo pełno ich snuło się dokoła,- szepnął mi w ucho: schyl głowę, Ona cię chce obdarzyć. Pochyliłem. Siedziała o parę miejsc dalej ale jam czuł, że mimo to kładę skroń na Jej kolanach. Jakże miękkie były, jak przytulne !... /Irena upuściła mu pod stopy całą garść jak celebransowi/ Ledwom ich dotknął - Ona jedna zdolna tak obdarzać ! łzy nabiegły mi do oczu,- zacząłem szlochać, szlochać jak małe dziecko, tak lekko, tak słodko... /właśnie stanęli przed kanapą przed biurkiem,- Irena kryje nagle twarz na jego piersi - on stara się zajrzeć w jej twarz/ Co takiego ? co pani jest ?- płaczesz ?

IRENA

- Pozwól i mnie...

ŻMUDA

- Ireno !-

IRENA

/osuwa mu się do kolan - popchnięty tem Żmuda mimowoli siada - Irena potrząśnięciem głowy rozrzuciła swe bujne włosy/ Pozwól dokończyć snu... twego snu w wieczerniku. Skrwawione twoje stopy skalałam błotem... /biorąc włosy w dłonie/ Obetrę ci je, nie broń, nie broń Henryku... On nie bronił jawnogrzesznicy... Łzami umyję,- ustami namaszczę... /Żmuda wpół podniósłszy się chce ją dźwignąć z klęczek - lecz znów siada, pierś mu faluje/ Nie odtrącaj,- nie, nie podnoś,- daj mi tak leżeć,... nic tylko tak leżeć u twoich nóg...

ŻMUDA

/hamował się póki mógł,- w trakcie następnych słów Ireny wybucha strasznym szlochem,- prawie bezwładnie siada na kanapie i zasłania sobie twarz,- w połowie silniejszego szlochu nagle milknie,- ręka osuwa mu się i pada mimowoli na głowę Ireny,- odchylona głowa opada mu martwo na bok. Dzieje się to tak momentalnie i spokojnie, że Irena zupełnie nie spostrzega tego zrazu/

IRENA

- Długo, oddawna szłam ku nim na klęczkach... we włosiennicach żalu,- w udręce wstydu,- w żarach tęsknoty... Zbierałam w złotą misę każdą kroplę twej krwi... /przyciska silniej głowę do jego kolan,- pauza/ Przebacz, że mówię o tem... Musiałam, raz jeden musiałam... Ale teraz odejdę, odejdę na zawsze... na zawsze ! Przebacz... /pauza,- zdziwiona ciszą podnosi na niego oczy/ Hen-ry-ku... Jezus Marja ! /czepia się jego rąk, piersi - trup Żmudy przeważa się na bok bezwładnie/ Henryku, Henryku,- ach !!

K o n i e c.

-.-.-.-.-.-.-